

ZBIÓR POWIEŚCI
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom sześćdziesiąty czwarty.



MAŁEPARTA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z XVIII. wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

MAŁEPARTA — DO CZARTA.

Przysłowie polskie.

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora.

TOM I.



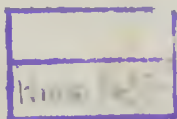
LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10.

1874.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.



Nakładem Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

Mało dziś ludzi pozostało coby pamiętali świetne czasy tego Poleskiego kąta, między Rafałówką, Dąbrowicą, Horodcem, Stepaniem, gdzie zamożne rodziny Platerów, Olizarów, Urbanowskich, Worcellów, Krasickich, — miały swe rezydencje. W jednej z nich u pp. Urbanowskich przebywał naówczas autor powieści, jako spowinowacony z tym domem. Anielska prawdziwie istota, pani domu, w zimie r. 1843 była chorą, potrzebowała rozrywki — książki nowe zostały wyczerpane, a choć ogromna i przepyszna biblioteka mogła dostarczyć tysiącami dawnych. Wybór dla towarzystwa był trudny. Dla rozrywki chorej i jej otoczenia przedsięwziął autor pisać *Malepartę*, i co napisał we dnie to czytał zwykle wieczorem. Mile to, dobre, spokojne były czasy i pełne najmielszych nadziei przyszłości. Dziś ten Horodec ruiną w rekach obcych, zbiory rozpierzchle — pamięć ledwie żywa... a młody ów skrybent, co plądrował po bibliotece korzystając z niej chciwie, jest starym, połamanym wygnańcem na śmieciiskach obcych... *Sunt lachrimae rerum!* Maleparta nam przypomniał stare dzieje — lepsze czasy. — Od roku 1843 do 1874 upłynęło lat trzydzieści i jeden — podanie niegdyś słyszane w Lublinie, w czasie pobytu w szkołach tutejszych, służyło za podstawę opowiadania.

Drezno 1874. Kwiecień.

J. I. Kraszewski.

ROZDZIAŁ I.

Znacie zapewne Lublin? Któżby go nie znał dzisiaj, i komuż mile na myśl nie przychodzą wdzięczne jego okolice, stare kościoły, malownicze dwie stare bramy, czysty Kapucyński kościółek, smętna fara, ponury Dominikański, niesmacznie odnowione Jezuickie mury i zamek? Znacie go jakim dziś jest, spokojnym, czystym, odświeżającym się, jak podtatusiały staruszek co nową kładzie perukę i wygala siwą brodę, żeby się wydać młodszym; znacie go z nowemi jego gmachami, z pięknem krakowskiem przedmieściem, z czystemi placami, ogrodami, brukami i szosą. — Ale nie stary to Lublin trybunański, nie stary to ów gród rokoszowy i jarmarkowy, sławny swemi piwnicami na Winiarach, norymberskimi sklepami, błotem ulic, wrzawą żołdaków, palestrą z piórem za nchem i szerpetyną u pasa; nie stare to miasto, co się chlubiło kilkudziesiąt kościołami i wskazywało fundacje Leszka Czarnego, co się chlubiło zamkiem w którym Długosz ćwiczył Kazimierzowe dzieci, stołem na którym podpisano Unję, szczerbami w murach, jednemi po ruskich kniaziach, drugiemu po Mindowsie, jeszcze innemi po rokoszanach Żygmuntowskich.

Dzisiejszy Lublin, to jakem wam mówił, staruszek do niepoznania wygolony, wymuskany, wybielony i ani w nim znać jego burzliwej przeszłości. Cofnijmy się ku niej nieco; nie dalej jak ku przeszłemu wiekowi.

Stańmy przeciw głównej budowie, przeciw gmachowi trybunałskiemu *) i spojrzyjmy do koła. Co za zgietk, wrzawa, hałas i płatanina! Z Krakowskiego

*) Ratuszowi.

przedmieścia, z Grodzkiej ulicy, z Dominikańskiej ciągną na sądy karoce, kolasy, taradajki, konni i pieszaki. Deputaci, mecenasy, palestra, pisarkowie, klienci, arbitrowie, ciekawi, przekupnie, żydzi, mieszczanie, mieszczki, pacholcy trybunalscy i miejscy, kozactwo i rajtary panów sędziów, służba i dworzanie i Bóg wie jeszcze kto.

Godzina sądów; już JW. marszałek jaśnie oświeconego trybunału ruszył w poszóstnej karocy, z kwatery swej na Krakowskim, podle kościółka świętego Ducha, ichmość deputaci, każdy spojrzawszy na zegarek dosiedli ten konia, ten kolasy, ten skromniejszej taradajki. Bo i między ichmość deputatami są ubodzy, są poczciwi, są skromni co nie widzą potrzeby substancji swej na dogodzenie próżności marnować. Każdy z p. deputatów, dwurno; czy płatni czy tylko przyjazni, towarzyszą mu panowie szlachta powietnicy, jedni konno, drudzy czepiając się kolasy, inni przemykając się pieszo ścieszkami pod kamienicami.

Słychać powitania i rozmowy, przekleństwa i śmiechy. Wśród ulicy szaraczkowa szlachta, co do izby dostąpić nie mogła, wstrzymuje tryumfalny pochód deputatów, cisnąc się z prośbami, do uszu i do stóp jaśnie wielmożnych. Służba rozpycha, woźnice krzyczą, szlachta głos podnosi — i karoca rusza dalej.

Na większy ścisk u ferty trybunalskiej, u podnóża wschodów wiodących na górę; tu przecisnąć się nie można, młoda palestra zajmuje forpocztę, służba, dworcy! pacholiki wchodzą i schodzą; przekupnie z koszykami na plecach, obwołując swój towar wrzeszczą; powozy zajężdżają — pacholcy rozpychają tłum. Cała przednia ściana kilku-piętrowego gmachu, oklejona do wysokości pierwszego pietra zapisanemi i zadrukowanemi ogłoszeniami, zawieszona namiotami handlarzy, zastawiona straganami przekupek. Za hałasem gawiedzi nie słychać dzwonów co biją u fary i Dominikanów na wotywę; niekiedy tylko z tego szumu wypłynie na wierzch wrzask jaki, przekleństwo ogromny śmiech, stukot lub głos dzwonu. I znowu szumi, tętni, gwarzy, wre w tym

tlumie, jak w kotle czarownic na sabbacie.

Trudno rozeznac postacie, taki ścisk, tak pełen płacyk Bożego ludu, tylko po łbach poznać można z góry patrząc, z czego się składa ta ruchawa masa.

Nad nią wystają rogatywki karmazynowe i białe ichmość pp. deputatów, bobrowe czapki jezuitów, piórami strojne kolpaki wykwintnisiów i czarne aksamitne kapuzy i błyszczące szyszaki nielicznej siły zbrojnej. Niżej pomieszane lisie bramy żydowskich czapek i kapelusze ich czarne, czółka pań mieszczech, żółte stroiki żydowie, szaraczkowe, papuzie, białe, czerwone nakrycia łbów szlacheckich i gołe głowy z rozwianemi od wiatru włosami. Niekiedy po nad te dziwaczną mozaikę wzniesie się reka z papierem, reka z szablą, z laską, z workiem i znowu utonie: niekiedy parskną łby końskie strojne w pióra i złożone trzesidła, zamachnie bat stangreta, zaświecą galki mosiężne u karety.

Na wschodach jak na placu, ciżba i zgielk, ledwie środkiem zostało ciasne przejście na górę, co się rozszerza uszanowaniem dla ichmość deputatów, powolnie, wspańiale, dumnie dążących na sądy i znowu zweza i zalewa. Ciągłą tym przesmykiem po wyżłobionych wschodach sławni mecenasi, adwokaci, plenipotenci, aktorowie spraw, palestranci z tekami pod pachą.

Swawolna młodzież rozpiera się na balustradach i poręczach chichocząc, żartując, drwinki stojąc z mniej zacnych przechodzących, a zwłaszcza z poczeiwych domatorów, co z pliką papierów i pokorną miną radziby się od nich czegoś dowiedzieć, w czym poinformować. — Na przejście tylko JW. prezesa i zacniejszych sędziów, ucicha palestra; ale zaledwie za czerwoną szubą zamknęły się drzwi górne, jużci znowu hałas rozpoczyna się w najłepsze.

Jedni rozprawiają o wczorajszych przygodach na Winiarach i Grodzkiej lub żydowskiem mieście, jak się tam powasnili i pokiereszowali: drudzy z panów mecenasów podkpiwają, inni z mieszczań szyczą, tańczy o paniach mieszczykach i kupcowych laskawych na palestrę z uśmiechem wspominają. A wśród rozmowy to

zakłady, to wyzwania, to umowy się zawiązują.

Niechno lisia kapuza żyda ukaże się tylko we drzwiach, jużci na niewiernego wszyscy jak psy na kota, i szczęśliwy jeśli bez gnzów pójdzie z kwitkiem, niedowiedziawszy się nawet czego żądał.

Niżej palestry rozstawionej po wschodach, gwarzącej w sieniach, i na placu nawet pod samemi wielkimi drzwiami, siedzą przekupki i przekupnie. Stary, niegdys kuchmistrz Jmks. biskupa, sprzedaje pampuszki ciepłe i pierożki z serem; tłusta obok niego siedząca w czarnem wytartem czółkn, wyszczekana baba na zydlu zawieszonymu fartuchem, wystawiła bułeczki, pierniki, makagigi, jabłka i inne łakocie. Pani Kasprowej cała ta hałastrą nie straszna, licha zjedzą żeby się czego zarumieniała i na co bądź nie odpowiedziała. Dalej za stolikiem zamkniętym na kłódkę, blade, wylekły, rzucający obląkanemi oczyma niestanny kozubales płacący, siedzi stary Abraham, lwowski wekslarz; a tak mu strach swego położenia, tak mu nie dobrze, ciasno, tak niebezpieczno, że pomimo kilkonastoletniego przywyknienia, jeszcze dziś jakby pierwszy raz siadł u wrót trybunału. Na jego twarzy czytasz wryty na wieki, dreczący go niepokój. Nie śmie się odwrócić, boi się obejrzeć, ścisną w garści worek, dusi stół nogami i truchleje, a siedzi.

Pod okapem wschodów w wytartym kontuszu, niegdy granatowym, i dawniej bramowanym szychową plecionką, siwy, wywiedły, z białemi prawie oczyma, które pływają w zaczerwienionych powiekach, ściśnionemi usty, brudno-siwym wąsem, wygoloną czupryną, w czarnych wykrzywionych butach, siedzi nad małym stolikiem, czerwonego niegdys sukna obrywką osłonionym, eks-mecenas Prozorowicz, dziś zajmujący się pod wschodami trybunałskimi przepisywaniem potrzebnych na predee skryptur, pisaniem prośb dla szlachty i t. p.

Dawniej był to wzięty prawnik, ale żona zbyt piękna, nadto młoda, potem trunek zgubili go na konsyderacji i fortune. Sierota na starość, straciwszy fertyczną małżonkę, która w Warszawie *in hospicio* umarła

zjedzona chorobą. bez sposobu do życia, wyzebrał sobie kątek pod wschodami i póki mu jeszcze oczy służą, pisze. A co napisze to przepije, i wytrzeźwiony pisze znowu, i napisawszy znowu pije. Palestranci go nie wiem czemu szanują; on ich po staremu przywyklszy trochę z góry traktuje. Czasem kiedy nie ma co pisać, a stanie pod wschodami i patrzy na przechodzących, to mu się nie jeden nawet z deputatów skłoni a nie jeden z bundziucznych czerwono nosych mecenasów i patronów nisko choć niechętnie czapkuje. A Prozorowicz cicho pod nosem mruczy:

— O! o! patrzcie no go! Sajetowy kontusz, delja na nim rysiami podbita, a jak aplikował u mnie niedawno, to mu imość stare szarawary moje na Nowy Rok dała i w nogi za to całował!

Na drugiego znowu:

— I to wyszło na ludzi. Panie Jezu Chryste. A miało to głowę jak ceber wielką, a jak ceber wywrócony próżną. I patronuje to teraz. I dmie się! A kiedy replikę mu raz dał przygotować, to djabeł wie co pomątał. pokręcił, żem w nią kazał jemu samemu świecę potem oprawiać!

P. Prozorowicz mruczał tak, póki go kto do stoliczka jego nie odwołał, tam jeżeli szlachcic chciał dyktować i mieszać się w układ prośby, albo poprawiać starego wyge, gorzej jeszcze nalajał.

— Cóżto wasze myślicie, żeście lada jakiego złapali skrybenta i możecie znać lepiej odemnie *jura consuetudines et formalitates!* Nie słyszeliście o Prozorowiczu? he?

Szlachcic się zaciętrzewił, a Prozorowicz nuż na niego.

— Wiele tu jest mecenasów, prokuratorów, patronów, wszystko to aplikowało przy mnie! Nie uczcież mnie wasze rozum, albo nie, to piszcie sobie sami!

Niedaleko od Prozorowicza stali zawsze kilku czerwono nosych, lada jako odzianych, ale pod wyszarzaną suknią ukrywających starannie swoje ubóstwo, patronów niższego rzędu. onych to patronów. co wysługiwali się

renomowanym mecenasom, nosili stołki za ichność deputatami, ścierali polami błoto ze wschodów przed jaśnie wielmoż. marszałkiem, aby gdzie po drodze schwytać za ogón choć maleńką jaką sprawę. Byli to patronowie bez spraw *et per consequens* bez chleba. Ale niech no się inu sprawa w ręce dostała! Wówczas z maleńkiej, malenięczkiej, nie nie znaczącej, rosła w olbrzymie proporcje, przybierała rozmiary nie widziano, przestraszające; rozpadała się na kategorje, rozciągała na mnogie lata, i klient nieszczęśliwy, upłatany, końca jej nie doczekał.

Ci ichność patronowie czatowali tu na przesmyku na przechodzącą szlachcie ubogą, skąpą, bojaźliwą, co nie chciała lub nie umiała dobieć się do wysokich progów sławnych i wziętych mecenasów lubelskich; a schwyławszy pastwę potrzebną, już się więcej nie ukazywali pod wschodami; miejsce ich było na górze. Nie jednego potem w rok, we dwa widziano ciągnącego za sobą długą delją amarantową, lub ogromną niedźwiednią karminazynem pokrytą! Natomiast biedny szlachciura co się w jego dostał łapy, wyciągał rękę po jałmużnę we drzwiach i opowiadał schryptym głosem cierpliwym słuchaczom cały swój nieszczęśliwy proceder, co go osadził na bruku i z torbami wyprawił.

W ciemnem zagłębieniu framugi, kilku obrosłych, barczystych, posępnych twarzy, błyszczących oczu, stało ludzi. Mówili cicho, a żronice ich blask jakiś złowrogi rzucające, zwracały się niespokojnie, to na wschody, to na drzwi, jakby kogoś wyglądali, jakby czekali na kogoś. Odzienie ich było barwa ubóstwa, co gorzej nierzadu i rozpusty; cale w plamy, w dziury, w nieforemne łaty. Na jednym knubrak, opończa na drugim, giermak stary na innym.

Na przodzie jakby wódz tej garstki ludzi, z bezwstydnem wojrzeniem, ręką na szabli długiej i prawie prostej o żelaznej rękojeści, o pochwach czarnych skórzanych, z głową w górę zadartą, olbrzymim wąsem czarnym, zakreconym na obie strony twarzy, stał wysoki mężczyzna, w płaszczu cudzoziemskiego kroju na

ramionach. Z jego twarzy zuchwalstwo i wzgarda ludzi, odwaga bezrozumna i bezwstyd patrzyły. Na licu jeszcze nie starem. ślady były wydeptane namiętnościami, niepokojem, całym życiem burzliwym i nierządne. Oczy krwią zabiegłe, pod oczyma sińce narzękłe, policzki blade i jakby ualane, usta sine, a wargi ich wierzchnia nadęta, skrzywiona.

Był to wódz tej hatastry bez imienia, bez czci i wiary, hatastry co się zaprzedawała niepocziwym, potrzebującym fałszywego świadectwa, fałszywej przysięgi, lub po prostu szabli do najazdu, siły do zemsty. Ci ludzie najmowali się za światki, lub opłaceni za burdę, napadali z szablą na tych których im wskazywano. Garstka ich skryta w ciemnościach jakby się światła lękała, składała się z wywłoków z turmy, szni różnego pochodzenia i stanu. W niej byli i szlachta niegodna szlachty imienia, i mieszczanie i żydzi nawet. Przechrztą stał na jej czele. Gdzie tylko ludzkie namiętności zawołają o pomoc, wyciągając rękę nie próżną, znajdzie się podłość, co wezwaniu, podaniem brudnej swej ręki odpowie. Garstka ta pomnażała się i coraz zmieniała, uczelnik od dawna był jeden. On nią kierował tajemnie, on nią przewodził, chociaż sam nigdy nie występował w roli wodza widocznie. Egzystencja tej bandy mało komu wiadomą była, jakby z ziemi wyrastali ci ludzie i niepotrzebni jakby w ziemię się kryli, dziś inni, jutro inni. Domyślano się tego ohydneho związku, ale go uamacać, wyspiegować go i wskazać sprawiedliwości nie można było. Ci co znali go lepiej, bali się zaczepiać. Wezwani na świadków w sprawie, nagle się ukazywali gdy ich było potrzeba i położywszy rękę na świętej księdze, wyjąknawszy wyrazy przysięgi, nie pokazywali się więcej. W dwóch, trzech sprawach jednej kadencji, czarny wódz posyłając swych podwładnych, coraz inszych ukazywał na przemiany, tak że nie widziano nigdy z kolei jednego z nich świadkiem w dwóch kategoriach.

Prozorowicz siedząc za swoim stolczkiem i dmu-

chając w czerwone przemrożone, długie, brudne i atramentem powalane palce, raz i drugi rzucił okiem na tych ludzi; pokiwał głową, skrzywił usta i szepnął jednemu z patronów bez spraw co to stali niedaleko niego :

— Niechybnie dziś sądzić się musi jakas sprawa szkaradna — jakieś *mysterium iniquitatis* wynijdzie na wierzch: patrz waćpan tych ludzi! to to mosanie jak wrony na slotę, nie jawią się chyba przed jakimś djabelstwem. Są to cygańskie świadki!

Patron pokiwał głową i wnet zwyczajem swoim i towarzyszków, zwrócił oczy na drzwi, zkąd czatował przybycia upragnionej sprawy, i marzonego od lat dwóch klienta.

Ale miasto niego ukazało się wcale co innego. Ruch wielki na placyku przed gmachem ratuszowym, ruch u drzwi, ruch na wschodach, palestra się szykuje i ściska, zostawiając szeroką drogę między sobą, ciżba rozstępnie, czapki zminiują z głów, rozmowy ustają, hałas i wrzawa ucicha.

Marszałek trybunału przyjechał. Ciągnęła go karoca sześcią koni karych zaprzężona, cała malowana i złocona. Koło niego hajduki, kozaki, pacholtkowie, pазie, dworzanie, przyjaciele, krewniaki, wojsko nadworne, czereda darmożjadów, słudzy. Załedwie poważna landara przestawszy się na pasach kołysać, stanęła u drzwi, już oczyszcili mu do przejścia zaklapaną błotem ścieżkę, już rozepchnęli lud. — Jasnie wielmożny, pan z panów, możnej i sławnej rodziny potomek, jeden z senatorów Rzptej, نکazał się z powozu, podtrzymywany pod ręce przez dwóch barczystych hajduków. Na głowie jego chwiała się ogromna sobola czapka, z wie-rzchem aksamitnym: z pod niej ukazywała się twarz pięknych, szlachetnych, arystokratycznych rysów, ale blada i rozlana, ze zbyt pełnemi policzkami. Oczy jej, coby mogły jasnieć blaskiem życia i zapałem szlachetnym, okryte były jakby mgłą, osłonięne w pół przeźroczystym jakimś płynem. Usta nabrzmiały, czoło się porysowało przedwcześnie, a silne ciało

w miękkim próżnowaniu i spoczynku gnuśnem, okryło się niezwyčajną na wiek otyłością. Jasno-błąd wąsik wymuskany na wierzchniej wieszający się wardze dawał niemezkiej twarzy, nieco charakteru. Trzydzieści i kilka lat tylko miał marszałek, a już tak był ciężki, tak stary i zużyty; tyle przeżył rozkoszy!

I nie dziw, pan wielkich włości, a sierota, w najbliższych coby go odwozić od rozpusty mogli i wskazać mu surowy cel życia, znalazł podżegaczy do swawoli. Matka cudzoziemka, (bo Polka inaczej by przywiązanie swoje okazała dziecięciu) wozila go po obcych krajach. miękko wychowała i nauczyła szukać w życiu tylko rozkoszy, tylko nasycenia, a potem spoczynku. Dorosłszy, stawszy się panem swej woli, ciągnął dalej poczęte życie gnuśne. Wziętością krewnych otrzymał senatorskie krzesło, prawie dziedziczne w jego rodzie, bo rzadko z niego wychodzące, krewni wysadzili go teraz na pochlebiające dumie gnuśnika urzędowanie, z którego korzystać myśleli dla swych osobistych spraw, wiedząc jak łatwo przewodzić temu, co sobą rzadzić nie umie. a choćby potrafił, nie chce. Marszałek był tylko twarzą, za którą dopelniały się ekscesa familji możnej; nie wiedział on że pod błyszczącą obłoną którą go okryto, było błoto; że na chwile wyniesiono go aby wszystek brud z siebie na niego zrzucić. Tymczasem ucztował w Lublinie, spijał starego wegrzyna, śmiał się do woli z pociesznej szlachty co go za kolana ścisкала, i prawil francuzkie, już wówczas w modzie komplementa, pięknym paniom, co na trybunał, jak na bal zjeżdżały, wabiąc do swych domów nieostrożną bogatą młodzież. Dwór marszałka był liczny i okazały; ucztę wystawne, stół otwarty, muzyka wyborna, worek dla przyjaciół i pochlebców otwarty, wszyscy też pod niebiosą go wynosili, a nikt mu nie rzekł, wśród nieustającej ucztę, strasznych, ale potrzebnych trzech słow Baltazarowych. Kręciło się i szumiało w tej głowie i szął po szale zajmował miejsce, niedając chwili na wytrzeźwienie, na rozmyśl i spojrzenie w przyszłość.

Kilku z panów deputatów przybyli zaraz po marszałku. Pierwszy prawie w trop za nim. Był to wysoki, pięknego oblicza, rycerskiej postawy mężczyzna, ale także znać było po nim, że nie anachorety życie prowadził. Przeszłość namiętna pokazywała się na twarzy zużonej, przeszłość co go jednak nie uczyniła bezmyślnym i bezsilnym jak marszałka. Światłość i dowcip malowały się w oczach deputata; ciało jego nie rozlało się w tej tłustości obrzydłej, którą dźwigał na sobie pierwszy. Więcej mówiący, widzący więcej od niego, nie dał się jeszcze zawojować jak tantiem namiętnościom i nie stękał pod ich ciężarem skruczony. Na twarzy deputata dwa jaskrawe rumieńce świadczyły o dobrem śniadaniu, pokrecał zamaszystego wasa i pomrukując coś pod nosem, rezolutnie przebiegał wschody. Kilku przyjaciół szli za nim, on się do nich odwracał to z konceptem, to z cichem jakimś zwierzeniem. W pierwszej izbie powitał mecenasów uśmiechem, różnej wagi ukłonami i wszedł na salę.

Trzeci, wcale innej miny, zjawił się w tej chwili na wschodach sedzia: średniego wieku, poważnej postaci, surowej twarzy, w stroju obcisłym, ciemnej barwy, bez błyskotek żadnych, opięty, sztywny, z usty zaciśniętymi, podstrzyżonym wąsem, podgolonym włosiem, w prostej białej wileczurze na ramionach, z karabelą nie wykwiutną na rzemiennym pasku; postępował po wschodach nie patrząc, zdawał się zamysłony. Niżej może niż przed kim innym pochylili się głowy, dalej rozstąpiła się palestra, bojaźliwym tylko, ukradkowym wzrokiem go zmierzono.

Sławny to był z swej niengiętej surowości i zamilowania prawdy człowiek. Usta jego nigdy się najlżejszym niezmazały fałszem, reka na niesprawiedliwym nie podpisała nigdy wyroku. Każdą sprawę przychodzącą na stół, sumiennie, bacznie, z największą rozpatrywał ścisłością; najmniejszej okoliczności lekce nie ważył i często niecierpliwił towarzyszków swych skrupulatnością niengiętą. Na żadnych ucztach nie bywał, znajomości unikał, przyjaciół miał mało lub żadnych,

zył sam z sobą, ucząc się nieustannie, by jak powiadał, godnym się stać piastowania wielkiego urzędu sędziego, tego przedstawiciela Boskiej sprawiedliwości na ziemi. Niczem go ująć nie było podobna, bo pochlebstwa nie-nawidził, a czapkowaniem gardził, datku mrąc z głodu by był nie wziął. Nikt częściej od niego nie rozpisywał się na dekretach, i nie stawał przeciw zdaniom wszystkich.

Pocziwy a uciśniony, jakiegokolwiek stanu człowiek, pewien był że w nim znajdzie obrońcę. I nie dość, że za nim stawał za stołem jako sędzia, ale często bardzo z własnej kieszeni opłacał patrona i wiódł sprawę, często nie wahał się, gdy szło o prawdę, rzucić sędziom swym współtowarzyszom piekącą wymówkę przedajności lub lekkości w oczy. Bało się go też niewymownie, ale mimowolnie szanowano. Jest jakiś pocziwy instynkt nawet w zepsutym człowieku, co mu każe szanować cnotę, choć jej pojąć nie umie, naśladować nie chce.

Nieprzystępny postrachom, jak pochlebstwom, sędzia nie załakł się nigdy dobytej szabli, pogróżek i rozbestwionego tłumu wicherzycieli. Raz napadnięty, odpowiedział zjadłym, rozdzierając kontusz na piersi:

— Weźcie mi życie jeżeli chcecie, w waszej ono mocy, ale nie w waszej zrobić mnie niepocziwym i krzywoprzysięcą. Choćbym życie postradał, prawdy się nie zaprę.

I tłum rozstał się, zamilkł, szable pochowały, wrzawa zgasła.

Sędzia, wedle zwyczaju wszystkich deputatów, nie miał dworu licznego i przyjaciół płatnych z ubogiej szlachty, co się za nimem, służąc na ich barwie, włoczyła dla reprezentacji. — Do czego mi to? mawiał — przyjaciół płatnych nie potrzebuję, a sługa mi jeden wystarczy!

Do porady miał rozsądnego i znanego z swej uczciwości i biegłości prawnika. Na współtowarzyszów swych patrzył z litością na jednych, z pogardą na drugich. Dopóki nie poznał którego, usiłował każdego nawrócić, próbował przekonać o świętości i wielkości obowiązków

sędziego; a gdy nie dokonać nie mógł, ani strasznym sądem Boskim, który często przypominał, ani wzbudzeniem ucznieniem piękności prawdy i wdziękiem cnoty:— usunął się dopiero w swą milczącą pogardę.

Jak zapowietrzony, żył on w mieście ludnem, ożywionem, gdzie wszystko wrzało i kipiało przez kilka niedziel w roku, sam jeden, bez towarzystwa, bez przyjaciół, bez stosunków. Ledwie wiedziano, że mieszka u ojców Kapucynów, z kąd codzień niemal kawał drogi pieszo na sądy przybywał.

Na widok jego, nie raz jakby zawstydzeni niekli hałasujący, uśmierzyli się zajadle nastający, surowszą postać przywdziali rozpustni. Taka jest, powtarzamy, siła cnoty nawet na tych co jej się zaparli. Kto wie, może sam widok tego człowieka, może rozważanie jego uczynków, nie jednego poprawiło, nie jednego od złego wstrzymało? A jak zgorszenie niewinnego, choćby mimowolne, policzy sędzia nasz kiedyś na karb złemu, tak mimowolna zasługa nie zostanie zapewne dobremu zapomniana.

Mecenasi w większej cześci już byli uprzedzili przybycie deputatów, i w antikamerze sądowej zajmowali się przeglądaniem papierów, konferowaniem między sobą, układaniem potrzebnych aktów, poprawianiem głosów, naradami ze stroną. Tu łatwo cokolwiek wprawniejsze oko rozeznąć mogło, po spokojnych obliczach, patronów od aktorów. Prawnicy z uchem niezachwianą odwagą, widzieli zbliżający się moment przywołania sprawy, aktorowie choć usilnie go pragnący, uiespokojni byli i żywo się troskali mającym zapasć wyrokiem. Nie jeden z nich ciągnął w kąć swego obrońcę i tam mu po setny raz kładł w ucho ważne wedle siebie argumenta na swą stronę.

Już godzina sądów nadchodziła i miano przywołać sprawy, gdy na wschodach ukazała się spiesznym dążąca na górę krokiem, nowa postać, co zwróciła na się oczy wszystkich. Był to mężczyzna lat około trzydziestu kilku, wysokiego wzrostu, barczysty, okryty wyszarzaną delją amarantową podbitą niedźwiadkami

zrudziałemi, na nim kontusz granatowy wytarty, z pół żupanikiem żółtym atlasowym wyblakłym, przepasany pasem starym. Karabella maleńka, jelce u niej obłamane, i znać dawno z pochw nie wyjmowana, bo się do skóry przykleiła. Na grubym karku pofałdowanym, głowa pochylona na piersi, czoło wypukłe żółtą skórą pokryte, pomarszczone, wytłsiące; nos ostry, spiczasty, cienki, usta wklęsłe i wąskie, marszczki pod oczyma, do koła ust, na policzkach, na skroniach. Znać wielką jakąś myślą zajęty, bo nie patrzy na nic, na nikogo, ludzi potraça, tłum rozbija i żwawo idzie. Znać droga mu wiadoma, bo się ni raz wstępując na wschody nie zawahał, nie obejrzał. Za granatowym kontuszem plik papierów zapisanych, laska w rękę.

Na widok jego palestra szeptać poczęła, i wskazywać palcami, a wejrzenia nań rzucane miały coś w sobie bojaźliwego i wzgardliwego razem.

On przeszedł wschody krokiem szybkim i pewnym i zniknął we drzwiach wiodących na sądową salę.

Gdy przebiegał się, rzucił wzrokiem raz tylko w prawo, w ciemne zagłębienie gdzie stali cygańscy świadkowie, spotkał się wejrzeniem z wodzem tej szui i poszedł niezastanawiając się dalej. Jakkolwiek rzut ten oka był szybki, przelotny i prawie przypadkowy, wszyscy go postrzegli, pierwszy Prozorowicz, kiwnął głową jakby do siebie mówił:

— Rozumiem.

Właśnie przy stoliku eks-mecenasa, a teraz publicznego skribenta, stało kilku młodzieży z palestry; on wskazał im ręką na przechodzącego i mrugnął białemi oczyma:

— Dziś pono jego sprawa przypada!

— Dziś podobno!

— Ciekawe rozwiązanie!

— Jaka sprawa? — spytał jeden z najmłodszych.

— Nie widziałeś wiel. panu kto przechodził? spytał po cichu Prozorowicz, ścierając pył z czerwonego sukna, którem stolik jego był okryty.

— Widziałem, ale nie wiem nic o sprawie.

— Ba! chyba wac żartujesz!

Wszyscy obejrżeli się na młodzika.

Był to może dwndziesto-letni chłopak, golowas jeszcze i pierwszoletni podobno aplikant, niedawno ze szkół wypuszczony.

— Może być że nic nie wie — ozwał się któryś z towarzyszy — bo nowicjusz jeszcze.

— Ale już przecie, rzekł Prozorowicz, musiał sły-szeć o tym człowieku?

— Ot może i nie — przerwał drugi.

— Dalipan że go nie znam, mówił młody palestrant, widziałem przechodzącego kilkakroć na sądy, ale tyle tu tych panów i butniejszych daleko przesuwą się pod oczyma, żem się o niego nie pytał. — Prozorowicz ruszył ramionami i poglądził czuprynę.

— No, to się waszmość pewnie dowiesz co to za jeden.

I na tem przerwała się rozmowa, bo na wschodach właśnie wszczął się hałas.

Powadzilo się dwóch palestrantów z jakąś szlachtą i już mieli się do szabel; hamowało tylko zapal przy-pomnienie, że to było pod bokiem JO. trybunału, gdzie burda *in flagranti delicto*, srodze mogła być skarana. Pa-lestranci wyzywali na Winiary na rozprawę krzyżową sztuką, szlachta dążąca na górę, domagała się odro-czenia na wieczór. Jakoś przecie porozumiały się strony i ucichło.

Ale tuż z drugiego boku hałas nowy. Abraham lwowski, z zaiskrzonemi oczyma, zapienionemi usty, rozczochną brodą i włosom, wrzeszczał na kogoś o dopłatę dwóch tyńfów niedodanych przy zmiianie pie-niędzy. Próżniacy zawrócili się ku nowemu hałasowi i skupili do kola stolika wekslarza, któren tem głośnie-j krzyczał, im więcej miał świadków.

Ręką jedną trzymał za połę obżałowanego, drugą wysoko podniósłszy, jakby wzywał nią ratunku; z otwartych ust potokiem lały się krzyki, przekleństwa, piski, żale, narzekania. Zatrzymany wysłuchawszy wszystkiego i kilkakroć napróżno usiłując wydrzeć się z rąk żyda, dobył nareszcie ze skórzanego worka dwóch

tynfów, położył je na stole przed Abrahamem, a gdy żyd łapczywie je garnał, wyciął mu ogromny policzek i zniknął w tłumie. — Żyd jedną ręką za pieniądze, drugą za twarz się schwycił i zaskowytał przeraźliwie; a ciżba do koła stojąca, głośnym śmiechem applaudowała nieznajomemu.

Zaledwie to ucichło, i kilka pojedynczych tylko głosów rygotało jeszcze serdecznie z przygody nienawistnego niewiernego, — inny hałas zajął uwagę wszystkich.

Stary ślepy Tatarzyn litewski, z kobzą nielitościwie piszczącą na plecach i piosenką schrzypłym głosem nuconą na ustach, dał się słyszeć z muzyką i śpiewem wzywającymi wymownie litości... Opiewał on nie wiem jaką przygodę, nie wiem jaką dziką nutą, i już próżniacza gawiedź zaczęła się do koła niego gromadzić. aby pieśni słuchać, gdy z drugiej strony Serb z geśłą, z trzeciej Cygan smagławy z drómlą odezwali się. Trzej zapaśnicy spojrzeli po sobie chwilę i każdy co najgłośniej jeli się sprzeciwić a walczyć kto kogo zagłuszy i pokona.

Tłum podzielił się na trzy części, zatoczył w trzy koła i przed wrotami trybunałskimi troista zadzwoniła muzyka, złana w jeden hałas piekielny, z którego kolejno wyskakiwały to głosy kobzy tatarskiej, to geśli Serba, to cygańskiej drómlki.

Ostatnia, wesoly jakiś tańczyk wygrywająca, najwięcej podobno zwabiła ku sobie, bo i Cygan młody co grał na niej, sprytnemi żarcikami, podskoki, pokornofiluterną miną, wabił mimowolnie; a wykrzykniki jego w przestawkach muzyki ubawiały gawiedź. Pieśń zaś Tatarzyna była ponura i dzika jak dźwięk kozy, śpiew Serba żałosny i płaczliwy. Starzy tylko którym ciężko na sercu i chce się zawsze powzdychać — słuchali dwóch siwych śpiewaków. Tym co byli z Litwy stary Tatarzyn, przypominał ojczyznę i lepsze może czasy.

Tymczasem Cygan pstrykał na drómlu, potańcowywał, łamaue pokazywał sztuki i czarnemi rzucając oczyma do koła, zdawał się razem przypochlebiać się

swym słuchaczom i drwić z nich. Na szczęście Tata-
rzyna i Serba, ktoś się w tłumie ozwał:

— A pomacajcie się po kieszeniach, czy w nich tam
także cygańskie ręce nie tańczą!

Na te słowa każdy się schwycił za mieszek i jak
wymiótł, puciekali.

ROZDZIAŁ II.

Przed stoliczkim Prozorowicza stał szpakowaty już szlachcic, w lichym kubraku, podpasany rzemiennym okrawcem, na którym wisiała karabela pordzewiała. Pilnował on cmokając i mruczając przepisywania proźby, eks-mecenas z widocznem nieukontentowaniem kopjował po raz trzeci, z coraz odmiennym tytułem, napróżno usiłując cokolwiek w niej poprawić. Szlachcic słowa wyrzucić ani dodać nie pozwalał.

— Pisz wać jak stoi na mojej cedule.

— Ale kiedy nie wyśmienicie na niej stoi!

— Nie turbuj się wać o to; sam pisałem.

— Toż to i bieda że waszmość sam pisałeś.

Szlachcic głową pokiwał.

— Wiem ja co robię.

Prozorowicz sobie potrząsał głową i szepnął:

— O tem wątpię, a potem dodał:

— Jak sobie pościelesz tak sie wypisz... Nikomu gwałtem dobrze uczynić nie można.

Kończyło się wreszcie przepisywanie, szlachcic swoją kopję za nadre pochował, dobył skórzanego dość płaskiego mieszka, w którym kolatały się dwa bite talary i coś drobnej monety, i rzucił na stół kilka tyńfów. Prozorowicz w milczeniu schował je pod sukno przed sobą, potem otarł pióro o szpakowatą czuprynę, zatknął ogromny kałamarz i podparłszy się łokciami, zamyślił. Chwilka tak w dumaniu minęła, ale trudno było eks-mecenasowi pozostać długo milczącym i niezatrudnionym. Otaczający jak tylko widzieli, że Prozorowicz nie ma co robić, cisnели się do niego na gawędkę. Stary i lubił mówić i miał co powiedzieć. Niedyś w daleko lepszym bycie, znał mnóstwo osób, dotykał się wielu

spraw, domagał się wielu prawd zakrytych dla innych. Teraz wywiedziony w gawędę, mimowolnie powzdychując wywodził z piersi, co w nich było żalu, wspomnień. Nie pytając kto go słuchał, komu opowiadał, prawil jak po nici wyciągając co mu na pamięć przyszło. To też lubiono gawędki Prozorowicza i zawsze znalazł się taki, co chętnie zapłacił garniec miodu, byle przy nim posłuchać relacji eks-mecenasa o dawniejszych czasach trybunalskich, kiedy on jeszcze był jednym z najwzietszych prawników w Lublinie, żył pańsko i za pan brat z najznakomitszemi. Prozorowicz, zwłaszcza kiedy go rozmarzył trunek i pamięć się rozigrała, opowiadał swoje dzieje i cudze dzieje, (a kogo nie znał i o kim coś nie wiedział!) jak zwykła opowiadać nasza szlachta, z największemi szczegółami i drobnostkowością najdobitniejszą, powtarzając każdą rozmowę *ad verbum*, opisując miejsca, osoby, ruchy, miny, stroje z inwentarską skrupulatnością. Chcecieli się przekonać, że tak opowiada nasza szlachta, wyzwicie którego pod dobry humor, na opis jakiego zdarzenia własnego, lub cudzego, jeżeli go byli świadkami — zobaczycie z jaką to szczegółowością malować wam będzie najmniejszą rzecz: domy, ludzi, konie, stroje, miny. — Często unndzi nawet swem nieskończonem obrazowaniem. Tak właśnie opisywać zwykł Prozorowicz, kiedy był w dobrym humorze i rozpalil się własnem opowiadaniem. Raz puściwszy się tym bitym gościńcem, mało już potem zważał czy go słuchają, i prawil więcej, myślę, dla swojej własnej satysfakcji, niż dla pożytku i przyjemności słuchaczów, o których weale zdawał się zapominać.

Ledwie miał czas otrzeć pióro i zatknąć kałamarz eks-mecenas, gdy młody palestrant, co to był ciekawy dowiedzieć się o przechodzącym wschody ostatnim z przybyłych na sądy, zbliżył się ku niemu z ukłonem.

— Za pozwoleniem, rzekł, jeźlim wam nie uatrętny.

— Potrzebnjecie czego? — spytał Prozorowicz, wlepiając w niego białe swoje oczy.

— Nie — chciałem tylko popytać was trochę, ale

to teraz pono nie pora, po sądach może zechcecie ze mną zejść za Grodzką bramę do gospody pod murzynami na przekąskę i kubek miodu, tam bym mógł się rozmówić swobodniej.

— He? po sądach? — spytał Prozorowicz oblizując się. — Dobrze, ale pod murzynami, wiem, kiepski miód, ja wam pokażę lepszy i bliżej, niedochodząc na Żydowszczyznę.

— A zatem *verbum nobile*? — rzekł młody palestrant.

— *Debet esse stabile* — dodał uśmiechając się Prozorowicz.

Kiwnęli sobie głowami.

— Ale powiedzcie no, o co to muie pytać macie — rzekł z cicha, pochylając się przez stół eks-mecenas — zbiorę tymczasem myśli i poszperam po starej głowie.

— Widzieliście tego, co to ostatni wchodził na wschody?

— W granatowym kontuszu i wytartych niedźwiadkach?

— Tego samego! Wszyscy go tu znają a ja o nim nic nie wiem. Dowiedziałem się jego nazwiska, powiniennien by mi być krewny. Chciałbym się o nim dowiedzieć; a przytem toć to za katy, uważam ciekawa figura!

— A jakże nie! — śmiejąc się odpowiedział Prozorowicz — to najciekawszy człowiek pod nasze czasy w Lublinie! Ale o nim gadać wiele, bardzo wiele! stanie na dwa dni, i dwa garnce miodu. A lepiej waść trafić jak do muie nie mogłeś, bo go znam jak swoją kieszeń i wiem jego procedencją, jak nikt dokładniej. Oj to człowiek! to człowiek! umiał sobie na świecie dać rady! Już co umiał to miał. Sprytne licho i szczęści mu się gdyby komu dobremu. Ja co go pamiętam latano, odarto, goło, dziurawo, ot doczekałem się sam uędzy na stare lata, a jemu jak idzie tak idzie, z płatka mosażu. Pod szczęśliwą się gwiazdą urodził, ale jeśli są niepocziwe *astra*, to pod najniepocziwszą! — Jeden to, powiem waści, z tych lotrów, jacy się nie często rodzą.

— Prawda, że zowie się Jan Paprocki?

— Jan Aleksander Paprocki — dodał mecenas.

— A ma za sobą?

— Mrozićke, rodzącą się z Gelbsternówniej, baronówniej inflantskiej, której...

— O tem potem — rzekł młody. A ma on tu krewnych, jakich?

— Żadnych, krom żoninych, ale tych już się pozbył i oto właśnie, dzisiejsza sprawa z niemi. — O niej waszmości rozpoviem obszerniej, wolniejszą chwilą: zobaczycie, jest czego posłuchać! A wiecie — dodał stary uśmiechając się — jak go przezwali tu w Lublinie?

— Nie wiem — potrząsając głową rzekł palestrant.

Pozorowicz uśmiechnął się złośliwie.

— Ledwie kto zua, co to za jeden Paprocki, ale lada żyd, lada nlicznik powie wam kto to, co go nazywają *Maleparta*!

— *Maleparta*! — dodał palestrant uśmiechając się.

— Tak, *Maleparta*, bo wszystko co ma, czem pobogacial, nie pocziwej to pracy owoc, ale *male-parta*, zły nabytek. A *zły nabytek*, *nie idzie w pożytek* — dorzucił Prozorowicz — *male-parta, do czarta*. W tem nazwisku, straszna przepowiednia dla niego! A co waść powiesz, taka twarda dusza, że się śmieje ze wszystkiego i jakby sobie drwił z przyszłości!

To mówiąc odwrócili się. Na wschodach stał właśnie ual niemi, tylko co wspomniony *Maleparta*, szukając kogoś czarnemi iskrzącemi oczkami. Wkrótce napotkał wejście wodza cygańskich świadków — na skinienie jego, kilku ludzi wyszli z framugi i skierowali się wschodami na górę. Przed niemi rozstąpił się wzgardliwie tłum, jakby się każdy lękał dotknąć ich sukni nawet, otrzeć się o niepocziwych.

— To on — podnosząc głowę, rzekł Prozorowicz.

Palestrant ciekawie i szybko spojrział, ale już nie zobaczył, bo *Maleparta* zniknął ze wschodów.

Wielki hałas na górze, zwiastował zamknięcie sesji sądowej, zaturkotwały powozy oczekujące przed wrotami na placu, ruszyli się dworzanie, pachotkowie, pa-

lestranci, naprzód jaśnie wielmożny marszałek, podtrzymywany przez dwóch przyjaciół, stoczył się powolnie ze ślizkich wschodów bez żadnego szwanku; potem jeśli schodzić gwarząc i śmiejąc się, odwracając, zatrzymując, deputaci, mecenasi, patronowie, ciekawi, aktorowie, jedni skrobiąc się po głowie zamyśleni, drndzy z podniesionem hardo czołem. Wszystko to ruszyło z sądów z różnemi myślami, uczuciami, projektami. Za mecenasami poszła palestra, i młodzież po kwaterach i garkuchniach się rozchodząc, z tą młodzieńczą weselością, tym krokiem skwapliwym, któren tylko do dwudziestu kilkun lat najdalej człowiek niesie przeciw złemu i dobremu z równym pospiechem i niecierpliwością.

Nasz tylko młody ciekawy, nie poszedł za towarzyszami, zbiegł on ze wschodów aby dopilnować Prozorowicza, i z nim razem pójść na miodek i ciekawe opowiadanie. Eks-mecenas już właśnie zwijał swoje manatki, zatykał kałamarz, zbierał pióra i papiery, ścigał czerwone sukno ze stoliczka i zabierał się do wyjścia.

Spojrzał jakby od niechcenia.

— A waść tu?

— Czekam na *verbum nobile*.

— Nie potrzeba mi przypominać, mości panie — odrzekł Prozorowicz z bolesnym uśmiechem — gdybym w życiu *verbum nobile*, chciał być zapomnieć nie byłbym czem jestem na starość, biedakiem pracującym resztą niewyplakanych oczów na kawałek chleba. Jeździłbym poszóstno i z hajdukami, boć do tego szedłem za lepszych moich czasów, ale — dodał wzdychając — pocziwość moja, a niepocziwość ichności, panie Boże odpuść, przywiódł mnie *ad hunc statum*. O! gdyby się to miało cokolwiek mniej skrupułów, szersze sumienie; dalej by się zaszło! Na tym świecie, tylko łotrom pluży, a pocziwym żal się Boże! At! at! — gderał dalej nagle zwijając sukno i układając papiery — może-to gdzieindziej będzie za to lepiej. *Spes unica Deus!*

— A widziałeś waszmość, jak nasz *Maleparta* schodził ze wschodów? he? z jaką miną? nie uważałeś pewnie?

— Nie myślcie żebym go prześlepił, rzekł palestrant, stałem umyślnie, aby mu się lepiej przypatrzeć.

— No, i cóż? nos na kwintę?

— Gdzie zaś! Żadnej zmiany! nos jak był i mina jak była, nie postrzegłem żadnej zmiany w nim, ba nawet radości!

— To bo to licho, mówił Prozorowicz, trzymając głowę na englach i nie pokaże nigdy co mu po duszy świ-drzy. Musiał jednak wygrać pewno, choć sędziowie byli najgorzej usposobieni o sprawie, bo gdyby klapnął, takiby mimowolnie nosa spuścił. Nie wylezie z rąk taka piękna substancja, żeby człowiek nie stęknął przy-najmniej.

Prozorowicz ruszył ramionami.

W tej chwili nawinął mu się stary, obszarpany, jeden z patronów bez sprawy, co zwykli czatować przy jego stoliczku. Była to stara znajomość z panem eks-mecenasem.

— Nie słyszałeś co waść o *Maleparcie*?

Patron kiwnął głową i machnął ręką.

— Djabli go nie wezmą! — rzekł dławiąc się.

— Ho! i cóż?

— Wygrało licho.

— Do czasu dzban wody nosi — odpowiedział mru-cząc Prozorowicz. — A no, chodźmy!

Skinął głową patronowi, który mu oddał pokornie jego ukłon i wyszedł z palestrantem. Dopiero na ulicy pokazał się w całej swojej biedocie niezakrywającej się, nie tającej, widocznie; chłodna i podarta suknia, wykrzywione bity, poszarpany pas stary, czapka upier-zona, uderzyły młodego chłopca, co z nim szedł. Do tego stroju dodać potrzeba w czerwone sukno stolik okrywający, owinięte papiery i różne pisarskie manatki; kałamarz na sznurku wiszący u guzika, linję pod pachą, wyglądające z kieszeni i z zanadry fascykule zapisane. Eks-mecenas tak ubrany, i obciążony postępował jednak

po miejskiem błocie, zwawo i z tą obojętnością na oczy ludzi, którą daje najwyższa nędza, lub największe tylko szczęście. Młody palestrant nie raz powstydział się w duchu swego towarzysza, widząc że zwracali oba oczy, tłumnie przechodzącego ludu; Prozorowicz ani się obejrzał co do kęła się działo, ani się zdawał troszczyć o ciekawie pogardliwe rzucane na niego wejrzęcia. On już oswojony był ze swoim położeniem.

— Mości — a — zapomniałem popytać, rzekł zastanawiając się wśród ulicy Prozorowicz — jak się waćpan zowieś?

— Bartłomiej Paprocki — odpowiedział szybko palestrant runieniac się pod wejrzzeniami przechodzących.

— A! imię i nazwisko sławnego *olim*, autora *Herbów Rycerstwa Polskiego* i *Gwiazda cnoty*. Nazwisko naszego Maleparty. Ale nie myśl waćpan, abyś mi przeto miał być krewny! — Licho to wie, z kąd się wzięło. *Tandem*, trzeba mi waści oznajmić, że nim pójdziemy na ten miód zawołany, muszę na kwatere odnieść manatki. Czy chcesz poczekać na mnie kedy — czy?

— Pójdziemy razem; chodźmy! — odrzekł palestrant, któremu pilno było ruszyć dalej, aby nań ludzie nie patrzali, bo mu się zdawało że wszystkich oczy zwrócone na nich.

— Ale bo to — powołnie odpowiedział stojąc w miejscu Prozorowicz — wać nie wiesz gdzie ja mieszkam. Dla takiego jak ja chudeusza, w mieście lokaty nie było. musiałem się wynieść na Żydowszczyznę, między niewiernych! A cóż robić z biedy!

— Ależ idźmy — rzekł niecierpliwie się palestrant.

— Tu niedaleczko za Grodzką; tylko błota po uszy, a jeżeli masz bóty lepsze od moich nie życzę się puszczać, bo srogie kałuże, możesz postradać obówie.

— Dajmy sobie rady! — zawolał ruszając się z miosca młody Bartosz.

— A zatem, dalej w drogę! — I Prozorowicz dzwignął swoje zawiniątko czerwone szybko posuwając się znowu naprzód. Mineli pełną zgiełku Grodzką ulicę, a zniżając się ku bramie, dzielącej ją od Żydowskiego

miasta, coraz poczęli głębszem brnąć błotem, co bruk całkowicie pokrywając, gdziekolwiek tylko wyżej sterującym, dozwalało głowy ukazać kamieniom. Pomimo że wybierali ścieżki udeptane, które eks-mecenas znał doskonale, codzień je, pokilkakroć czasem i często po pijanemu przechodząc — musieli jednak uczciwie się zawałać, nim dościgli ciemnej i brudnej bramy Grodzkiej, w której wrotach wiecznie czerniała ciżba żydowska, wylewająca się ztąd na miasto.

Za Grodzką zmieniała się fizjognomja ulicy i podróż stała coraz niebezpieczniejszą. Tu już nie było bruku i ścieżki wydeptane odznaczały się tylko rzadszem, lepiej rozkładanem, polyskującym błotem, przez które brnąć było potrzeba. Chociaż na Grodzkiej domy i ulica wcale nie były wzorowej czystości i ochędóztwa; wszedłszy jednak na Żydowską, czuć się dopiero dawało, jak dalece tamta część miasta starannie była utrzymana. Wprawdzie u niejednych wrót i na Krakowskiem nawet, kupy śmiecia i nawozu wyrzucanego ze stajen wspaniale wznosiły się do wysokości okien dolnego mieszkania, wprawdzie i tam niepoślednie było błoto; ale co za porównanie do Żydowszczyzny! Tu ulica cała, była jedną rzeką brudu, śmieci, obrzydliwości wszelkiego rodzaju, których od niepamiętnych czasów, nikt nie pomyślał wymiatać, lub wywozić. Na rozrobionem kołami wozów i nogami przechodniów błocie, pływały stare pantoile, reszty butów, kawałki koszyków, skorupy od jaj, kości od mięs i ryby, okrawki sukna i lachmanów, ogryzki i warzywa! Niemiłosierny swąd wznosił się z głębi gnijących wiecznie kałuży, na których brzegu zdechłe psy i koty, oczekiwały napróżno pogrzebu. — Domy tutaj stojące prócz dwóch czy trzech przytykających do Grodzkiej bramy i nieco porządniejszych, czarne były prawie od brudu i nie miały innej barwy, nad tę jaką im nadały dymy, sadze, deszcze i pomyje, po ścianach spływające. Każdy prawie dom otoczony był jednym lub kilką balkonami ściany obejmującymi, podtrzymanymi na cienkich i różnie mniej więcej misternie wyrabianych słupkach. Z za balustrad

wyłamanych, czerniały różnej miary, różno szybne, często papierem zaklejone lub gałganami zatkanie okienka. A na balaskach, na słupach, na sznurach od dachów wiszących, miljona barw rozmaitych, najdziwniejszych kształtów, czepiały się bielizny, stroje, lachmany: podarte koszule, fartuchy, kaftany, czepce, spodnice, suknie w dziwne festony, unosiły się do góry i zniżały ku ziemi.

Niektóre domy całkiem były, zawieszone bielizną i sukniemi, widocznie żydowskiemi. Gdzieindziej dla ozdoby balustrad, schły do góry dnem wywrócone na kółkach garnuszki, garnki, doniczki, hladysze, ceberki.

Od ulicy wsparte na słupkach facjaty, drewnianych i murowanych kamienie, stroiły się w rozmaite szyldy. Tu było schronienie partaczy, co nie należąc do cechów miejskich, taniej od majstrów cechowych, ale kto wie jak partolili wszystko, począwszy od trzewików, a skończywszy na złotniczych wyrobach. Liczne znaki szynków i winiarni, mnóstwo balwierskich miedniczek i krawieckich nożyc, wahały się wywieszone na długich tykach z okien, poddaszy i strychów. Drzwi i okiennice domów malowane czerwono, zielono, żółto i niebiesko, służyły także za znaki. Na nich lokatorowie stali, mieli wymalowane swoje szyldy. Tu dowcip malarzy wysiłał się na koncepta, aby zachęcić do szynkowni lub gar-kuchni; zwabić do balwierza; naiwny pęzel sztukmi-strza, bił się nieraz z dobrą nawet, ale nienmiejętnie wyrażoną myślą. Ileż to razy aby być wielkim artystą, brak bazgraczowi, aby był — artystą tylko!!

Wśród tych domostw tak brudnych, a tak ożywo-nych mnóstwem znaków, draperji improwizowanych, naczyń itd. snuła się ludność, której byś zdaje się żadną siłą nie potrafił pomieścić w ciasnych kamieniczkach całego żydowskiego miasta. Ulica roila się, wrzała, szumiała i od brzasku do nocy nie była prózną na chwilę. Ruch na niej był nieustanny, czarni żydzi w lisich ka-puzach i okrągłych z ogromnemi skrzydły kapeluszach, żydowice pstrokate, bachury odarte, piesi, konni, bry-kowi, wózkowi, wozowi, nieustannie snuli się a snuli, potracając, mijając, krzycząc, klócąc, witając, szachrując,

umawiając, podając ręce na przybicie targu lub pokazując pięście na groźbę.

Ciekawy byłby tu się najrozmaitszym mógł przypatrzeć scenom, poczynawszy od najpospolitszej z chłopem wiozącym na targ nędzny swój towar, aż do tajemniczego podziału kradzionego srebra i sukien.

Prócz żydów, których tu liczba przeważała, nie postrzegłeś chyba mieszczan znajomych, i to o białym dniu, do tańszych rzemieślników i przekupniów przebiegających się, lub przejeżdżnych co tedy w miasto dążyli, nie mogąc nlicy wyminąć. Z Chrześcijan mało tu bardzo kto zwabiony taniością kwatery, najął mieszkanie, i to chyba w ostateczności. Nie było bowiem całkiem bezpiecznie, wśród żydowstwa zamieszkać, a nawet długo lub w ciemną noc pozostać. Często tu zdarzały się rozboje, kradzieże, często ludzie na żydowszczyźnie znikali, których potem trupy tylko znajdowano gdzieś za miastem odarte, albo z rzeką płynące. A gdy przyszło do poszukiwania (co rzadko się trafiało dla trudności dosledzenia zbrodniarzy, w tym tłumie, który nigdy spisany dokładnie być nie mógł) — najczęściej odzienie i rzeczy zabitego, znajdowały się u żydów.

Zdziwił się też nie pomalu nasz palestrant, widząc eks-mecenasa wstępującego, po wylamanych wschodach, na piętro ciemne jednej z najniechlujniejszych kamienic żydowskiego miasta.

— I waszmość odważasz się tu mieszkać?

— A czegoż się bym bał? — spytał Prozorowicz obojętnie. — Śmierci się dawno nie boję, a odarcia goły się nie lęka. Wiesz wacpan ruskie przysłowie??

To mówiąc przez niskie drzwiczki wdrapali się do izdebki na piętrze, najbiedniejszego pozoru, ciemnej: o jednym tylko oknie wychodzącem w podwórze i nie wszystkie szyby mającem. Cały jej sprzęt składał kuławy stoliczek, na którym eks-mecenas złożył swoje zawiniątko i papiery, półeczka z kilką odrapanemi książkami, zydeł z płaskim siennikiem i czarną koldrą wełnianą, garnek na wodę, butka chleba zapleśniałego, stare bóty i osmalony ożog do poprawienia w oddawna

niepalonym, popekanym piecu.

Palestrant na widok tej srogiej nędzy wzdrygnął się. Ubóstwo takie wydało mu się przerażające, ubóstwo co się kryć musiało w tej niechlujnej jamie, obok plugawego żydowstwa, którego krzyki dochodziły ich uszu wyraźnie — ubóstwo, odrażliwe, ostateczne, niemające nawet nic w sobie, czemby potrafiło litość obudzić, tak było ohydne, tak spodłone.

Stojąca na stoliku kwarta, lipka od piwa, którego resztką skrzepla w nadtluczonej szklance, dowodziła że eks-mecenas i w domu czasem zapijał się do reszty, aby utracić pamięć dręczącą go lepszą przeszłością.

— I jakże tu mieszkać możesz? — spytał mimowolnie młody.

— Jak?? — powtórzył z uśmiechem Prozorowicz, podnosząc nań białe swe, ale w tej chwili zaognione oczy. — Jak?? Muszę — i mieszkam. — Prawda, to okropnie dla tego co znał lepsze! A jednak, widzicie, mieszkam, żyję. — Ale Bóg jeden wie to życie, Bóg jeden, co policzył grzechy moje, policzy i cierpienie jakie z łaski jego na tym świecie ponoszę. Dziwujesz się — widać żeś młody... Jeszcześ nie widział biedy i bodajeś jej nie poznał — nigdy! A ludzie co mi boby czyścili, co mi suknie chędożyli, jeżdżą teraz w kolasach i wylegają się na pierzynach, a nie spojrzą kiedy podle nich odarty po błocie się wlokę. Taki to świat mości panie! At! Zachciałeś. — Chodźmy lepiej na miód, zapomni się o biedzie. Kubek mospanie, to prawdziwy *consolator afflictorum*.

ROZDZIAŁ III.

Lżej odetchnął palestrant, kiedy nareszcie wyszli ze smrodliwego kąta, którego Prozorowicz nazywał swoją kwaterą, i przebrnąwszy gęste błoto, wydobyli się znowu na Grodzką ulicę, gdzie mimo dymu i swedu lżej było oddychać, bo powietrze nie przeszło temi wyziewy żydowskiemi, co zda się wszędzie ich otaczają, i wszędzie idą za niemi.

— Pod murzynami, rzekł Prozorowicz, miód niepozciwy, garniec z dwoma dnami i gospodarz niezdara, też nic pocziwego; pójdziemy pod zieloną wiechę do Matjasza z Zamościa.

— A kędyż to, daleko? — spytał palestrant.

— Dwa kroki ztąd, na tyle kamienicy, podle fary.

— Aba, wiem!

Zawrócili się tedy przechodnią bramką, i zeszedli z ulicy na tyły, gdzie wkrótce napotkali furtkę o dwu kamiennych wschodach, nad którą wahała się wiecha zielonej sośniny. Eks-mecenas poszedł naprzód i pierwszy wcisnął się do izby, a za nim jego młody towarzysz.

Był to jeden z pomniejszych szynczków rozsypanych w wielkiej ilości po Grodzkiej ulicy. Wszedłszy wewnątrz poznać było łatwo, jacy ludzie do niego uczęszczali, a właśnie i pijących izba pełna była. Siedzieli za ogromnym drewnianym stołem o krzyżowych nogach, podochoceui już, czerwoni na twarzach, w czapkach na głowie, panowie woźni, posługacze sądowi, skrybenci i balastra trybunalska. Nie mało tu było i sług deputackich i mniejszych dworzan, uboższych panków. Piwo i miód w garncach, dzbankach, fłaszach, stały na stole, a przy nich kubki cynowe, kamienne, blaszane, szklanne. — Gospodarz w kubraku oplamionym, oblicza piwo-

niowego koloru, związał się posługując gościom.

Gwar był wielki i rozmowa tak żwawa, że wszyscy śmiało co chcieli mówić mogli, bo nikt ich nie słyszał: każdy mówił dla siebie tylko, w przekonaniu, że utrzymywał rozmowę z sąsiadem. — Niekiedy stuknięcie kubków przerywało dźwiękiem szklannym lub metalicznym gwar jednostajny, jak szum wody pod młynem.

— A po kiegożeśmy tu licha przyszli — spytał w ucho krzycząc mecenasowi towarzysz — toż tu, gdybyś waszność na całe gardło krzyczał, to go nie posłyszysz?

Eks-mecenas kiwnął głową i powiodł za sobą młodego do drugiej izby.

— Ani tu nawet rozmówić się niepodobna, bo wrzawa wielka.

— Bądź no waść cierpliwy.

Skinął na gospodarza, który pomimo odartej sukni i niewiele zarobku obiecującej postaci Prozorowicza, pospieszył ku niemu na jednej nodze.

— Słuchaj no Matyja — rzekł eks-mecenas kłapiąc po ramieniu schylającego mu się do kolan gospodarza (co nie pomału zadziwiło palestranta) — daj nam jaki kąt spokojny, gdziebyśmy swobodnie pogawędać mogli z tym oto jeśpanem!

— Całem sercem, całem sercem, odrzekł pospiesznie gospodarz, na usługi jestem mecenasa — jak zawsze — całem sercem. — Jest izdebka na górze, każę zanieść garnczyk lipczyku.

— Tylko co dobrego, Matyja, — rzekł grożąc na nosie Prozorowicz z miną protekcyjną — he?

— Całem sercem, najlepszego. Jegomość wie, dodał, że cały dom na jego rozkazy, po staremu, i ja z nim.

— To mówiąc gospodarz znowu ścisnął Prozorowicza za kolano.

— Izdebka na górze, okna w ulicę, spokojniuteńko! Oto klucz — mecenas wie drogę.

— Wiem, odpowiedział Prozorowicz, każ-że podać twój lipczyku.

— Duchem — duchem!

I Matjasz poleciał brząkając kluczami, a nasi jeli się drapać ciemnymi i ruchliwymi wschodami na górę.

— Nie bez tego żeby to waści nie dziwilo — odezwał się stary idąc — jak muio ubogiego odartusa traktuje gospodarz tutejszy. He! uważaliście?

— Jakże nie! i właśnie —

— Otóż powiem wam, to jeden człowiek, co zachował w pamięci, zem mu kiedyś dobrze uczynił! Inui, pożał sie Boże — zapomnieli dawno, że z mojej łaski chleba się najedli. Ten jeden, co mi dawniej służył, jeszcze pamięta, zem mu był panem, i dalipan, dobrym panem, nie pochlebiając sobie!

Stary głęboko westchnął. Milcząc weszli do stancyjki o dwóch oknach, dosyć porządnej, w której nieco niepotrzebnych gratów leżało w kącie zrzucone, świadcząc że to był lamus gospodarza.

— Ot i stolki, ot stolik, siadajcież.

— Ale czasu nie traćmy — dodał niecierpliwy palestrant.

— *Festina lente, paulatim, paulatim.* Ot zaraz rozpoczne, zaraz, niech no ten miód przyniosą.

Stary zatarł ręce, przeszedł sie po izbie i usiadł, zwracając oczy wybladłe na drzwi któremi się wniesienia ożywczego trunku spodziewał.

Sama gosposia, nie stara, trzydziesto kilka letnia może kobieta, ale świeża i czerstwa jeszcze, a nade wszystko ruchawa, z czarnemi oczyma w otwartych szeroko powiekach, w czepcu kolorowym, fartuszkui białym i kaftaniku olamowanym galonkiem, wniosła w polewanym dzbanie miód i dwa kubki do niego. Pokłoniła się ona Prozorowiczowi, starła stolik, nalala napój i obejrzawszy się na młodego palestranta wyszła.

— Tandem tedy — rzekł nareszcie eks-mecenas, ciągnąc miód, którego kosztował niedowierzając. — Tandem tedy, miód niczego! Miód niczego, wcale. O czymże to mówić mieliśmy? A! o Maleparcie! Jestem na gościńcu, będzie co gadać. A naprzód trzeba abym waszmości powiedział, żeśmy się z nim dawniej bardzo dobrze znali, był czas nawet, żeśmy z sobą poufale

żyli, choć ja do niego nigdy przywiązać się nie mogłem, ani mu się otworzyć.

— Zkądże on jest? kto?

— O! ależ powoli! powoli! Mości panie, przyjdziemy do tego, przyjdziemy. Potrzeba naprzód, abym ci powiedział, jakim go poznał. Masz waszmość wiedzieć, że ja jestem dobrze starszy od niego. Byłem już aplikantem od kilku lat, tu w Lublinie, przy trybunale i oczekiwałem tylko chwili, w której memu mecenasowi, spodoba się, wypróbowawszy sił moich, wyprowadzić mnie na człeka dając mi sprawę jaką, gdy razu jednego... Ale poczekaj no aspan, zaraz to opowiem.

Stary łykał miód — dalipan, nie zły miód! — mówił dalej.

— Jednego tedy razu, mości panie, stałem ja sobie na wschodach, jako to i teraz młoda palestra staje w czasie sądowym, baraszkując a wesóło czas przepędzając, gdy postrzegłem po raz pierwszy, może czter-nasto- może piętnasto-letniego chłopca, odartego, w pół nago, bladego, wyżółkłego, co wychyliwszy się przez drzwi, prosił przechodzących jałmużny.

A nie prosił jako wszyscy, ale z dodatkiem:

— Dajcie grosz ubgiemu sierocie, szlachcicowi, szlachcicowi!

— Szlachcicowi! myśle sobie, i mówię do Zeleźnickiego, co stał przy mnie, jak dziś pamiętam: — Słyszysz waść, toż to się ten urwipoleć, gołota, szlachcicem mieni.

— Od Adama! — odpowiedział mi śmiejąc się Zeleźnicki. Ciekawość mnie ruszyła, bo i nie było co robić, a siaki taki stojąc na wschodach ziewał; poszedłem na dół i dobywszy z mieszka grosz, nuż pytać te chłopię.

— Cóż to ty za szlachcie?

— Z pod Sandomierza, odpowiedział, zowie się Paprocki, rodzice muie odumarli małym, zubożeli, ostatni zagon przedawszy; ze zgryzoty pono jedno po drugim, pod kościołem pokończyli. Krewni i znać nie chcą ubgiego, muszę się tak ot włóczyć prosząc lito-

ci ludzkiej!

— Jakże to być może, spytałem, aby się między twemi krewniakami, z familji ojcowskiej albo matczynej, nie znalazł nikt litościwy, coby cie poratował?

Chłopię wlepiło we mnie wzrok, którego nigdy nie zapomnę; rzadko stary a bardzo nieszcześliwy człowiek spojrzł takim wzrokiem. Uśmiech gorzki, złośliwy, przebiegł po sinych ustach chłopcu.

— Gdyby było czem się podzielić wzięli by mnie, odpowiedział, ale moje łachmany nie warte opieki!

— Jakżeś się wychował, kiedy cie rodzice dzieckiem odumarli?

— O! to długa rzecz — rzekł chłopiec — wolę o jałmużnę prosić, niż pleść co wam się na nic nie zda!

— A wielebys uzebrał? — spytałem.

— Sa dui w które do tyufa zbiorę — odpowiedział.

— Bierz kat tyufa, naści go, a gadaj nam, bedziemy śłuchali, póki z sądów nie ruszą.

Już sie była nas nie miała kupka zebrała; otoczyłszy chłopca, a on obojętnie prawić zaczął:

— Jak rodzice umarli, wzięła mnie uboga szlachcianka, u której byłem do lat siedmiu pasąc jej gęsi i kłusięta. Dawali mi za to kawałek spleśniałego chleba, czasem łyżkę zimnej strawy. Przepadła raz gęś i wypędził mnie mąż jej, groząc różgami, gdybym się więcej pokazał, wpierali we mnie żeśmy ją z pastuchami upiekli i zjedli. Poszedłem tedy pokazawszy mu języka i niewiele sie turbując o zarobek na życie, bo mi się spodziewał go łatwo znaleźć. Ale mi sie oszukał: nim wynalazłem służbę, nauczyłem się rękę wyciągać i żebrać. Widziałem pańskie dzieci, co w tym wieku z niankami chodzą, a ja sam włóczył i sam o sobie myśleć musiał; krecąc sie podle osad szlacheckich, szukając strawy na śmieciisku nieraz i gryząc się ze psy głodnymi jak ja o niedojedzone kości. — Z biedy przyszedł rozum a widząc że ludzie nie dają, poczęłem sam chwytać chleb, gdzie go znalazł, otręsać drzewa owocowe i wykradać z ogrodów warzywo. Złapawszy mnie raz na tem, wypędzili za wieś różgami

chłoszcząc i obiecując drugie tyle, jeźlibym się kiedy pokazał tam znówu. Poszedłem! Wielka brała mnie ochota ognia podłożyć pod ostatnią stodołę, ale nie było krzesiwa! Dobrze im było nie głodnym i spokojnym wychłostać ubogiego sierotę, co nie mając strawy, zjadł u nich gruszkę z ogrodu, wyciągnął kawał chleba z torby!

Od tego czasu puściłem się na włóczęgę, od wsi do wsi, na żebranie od dworu do dworu. Nie ma co mówić o tem, a gdyby wam panowie opowiedzieć wszystko, gdyby opisać tego życia mizernego lat kilka, włosy by wam powstały na głowie! Na cały biały świat, jak świat szeroki, żywej dla mnie duszy; nigdzie swojego kąta, nigdzie znajomego, nawet psa!

Ludzie dawszy jałmużnę, zamykają drzwi przed nosem, psy warczą i za łytki chwytają. W burzę chyba pod starą gdzie gruszą się przytulić, albo pod parkanem; nawet z karczmy żyd ubogiego wypycha. A z pleców jak opadnie łachmana ostatek, póki się doczekasz ludzkiej litości, świecisz cielskiem długo! długo! Ludzka litość, panowie, oj bodaj jej nie potrzebować, nie rychło przychodzi i nie długo trwa a opłacić ją potrzeba! Toćem i tego doświadczył. Jednego razu zwlokłem się do wsi pod plebanją, i zmorzony głodem, drogą, chłodem, upadłem na przyzbie domostwa podle kościoła, nie mogąc już iść dalej. Stary dzwonnik wyszedł, spojrzał i spytał: Co ty za jeden?

— Ubogi — sierota!

— A po cóżeś się tu położył?

— Bo dalej iść nie podążam.

— Cóż to, chory jesteś?

— Albo ja wiem co to zdrowie, że się mnie pyta-cie, czym ja chory? Dajcie mi pokój i niechaj już skończę.

— A co to ty myślisz tu umierać! zakrzyczał dzwonnik.

Nadszedł jakoś na to pleban.

Znówu pytania. — Dajcie mi pokój — rzekłem, bo i gadać już nie mogę.

Nie wiem co tam jemu się stało, ale proboszcz kazał mi dać co zjeść i pozwolił przenocować w szkole, choć dzwonnik z organistą gardlowali się przeciw temu, żeby lada włóczęgi zbierać po drogach. Nazajutrz (widać popychadła potrzebowali) pozwolili mi zostać przy szkole i dali siaki taki przyodziewek. Oj, żyłem ja tam rok, ale go całe życie pamiętać będę. Dał mi sie we znaki! Pedzali mnie jak bydle — ten sobie, ten sobie — pocziwy ksiądz, prawda nie, ale dzwonnik, organista, aż do starej baby co im jeść gotowała i młodej narzeczonej organisty, każdy się wystugiwał za mizerny kawałek chleba, że osła by byli zameczyli. Skoro świt, Janko na nogi, ruszaj tam; wróciłeś, idź gdzieindziej. I cały Boży dzień z miejsca na miejsce, ani nogom spocząć, ani plecom. Nie wiem jak i kiedy nauczyłem się w szkółce przy pauperach trochę czytać i pisać.

— Ehe, to ty i pisać umiesz? — zawołaliśmy do koła.

— Był już czas zapomnieć, odpowiedział chłopiec, bom tam długo nie wytrzymał, a puścił się znowu na włóczęgę, tak mi omierzło to życie. — Jak wypchnęli mnie jednego ranku, to mnie więcej nie zobaczyli.

Poszedłem znowu na wędrownkę, i znowu na nędzę; aleć tak choć chleba nieraz brakło, to się człek przynajmniej kija nie bał i pana nie znał.

A my znowu w śmiech, a chłopiec dalej prawi.

— Ot nie ma co więcej wam mówić, dacie drugiego tyńfa, to się wam pokłonię.

Bardzo nas to mosanie zastanowiło, że ta nędzota tak sprytnie nam opowiedzieć o sobie potrafiła. Nuż my tedy w rady, jakby mu pomódz; a on stojąc śmieje się.

— Czego ty się śmiejesz?

— Błaznujecie pankowie — rzekł chłopiec — nie macie co robić, to udajecie, że wam bardzo na sercu cudza bieda!

Chcieliśmy go wytrzepać po grzbiecie za to zu-chwalstwo, ale w tej chwili jakoś wziął się szmer na

wschodach, bo sądy się skończyły, i deputaci, i mecenasi i co było na górze, schodzić poczęli.

Myśmy jeszcze stali przy chłopcu, który rękę wyciągnawszy, wrzeszczał na całe gardło do przechodzących:

— Dla miłości Pana Boga, dajcie grosz szlachcicowi — sierocie! — Dajcie grosz! dla miłości Pana Boga!...

Siaki taki rzucił mu na rękę groszaka, aż nadszedł, jak dziś pamiętam, sławny pod owe czasy mecenas Przepiórkowski. Był to mościłpanie osobliwszy człowiek. Głowa co się nazywa, tęga, serce jak łaźnia publiczna, otwarte dla każdego; litościwy aż do zbytku. — Czoło zawsze podniesione i wesołe, na ustach w czasach ucisku i biedy jednostajny zawsze uśmiech. Kochała go cała palestra, jak ojca rodzzonego, bo komu mógł dopomagać, a nikomu nie zaszkodził nigdy. Mawiał on nieraz kiedy mu wyrzucali zbyteczną jego dobroć:

— Karać to do Pana Boga należy, męczyć to szatańska rzecz, a choć trochę dobrego człowiek człowiekowi, kiedy może, zawsze powinien uczynić. Nie patrzę komu robię, ale patrzę co czynię.

Taki to był ten Przepiórkowski. Otóż on właśnie nadchodził, a chłopiec jakby na toż, wyciągnął rękę i wykrzyknął po swojemu do niego:

— Dla miłości Pana Boga, dajcie grosz szlachcicowi-sierocie.

Nasz Przepiórkowski, jakby go osadził w miejscu. — Co ty za jeden? z kąd?

My cośmy już tę historję wiedzieli, opowiadamy. On głową kiwa, a niekiedy i marsa nastawi, nareszcie odwróciwszy się do chłopaka, rzekł:

— Chodź za mną.

Ten nieborak uszom nie wierzył i stoi...

A on mu powtarza — chodź za mną.

— Po co?

— Dam ci odzienie i opatrzę, abyś się za jałmużną nie włóczył.

Chłopiec się w głowę poskrobał.

— A nie będziecie mnie męczyć, jak tam na plebanji?

Przepiórkowski głową kiwnął i marsa nastawił, bo trzeba wiedzieć, że jak był osobliwszej dobroci człowiek, tak między uśmiechem, co mu lada dla czego na usta wychodziło, zjawiały się i marsy na czole niewiedzieć po co, choćby był jak wesół.

— Jak ci będzie źle, rzekł, to sobie pójdziesz precz, a teraz chodź za mną!

Chłopiec zawahał się chwile, potem nasadził jakiś ochlap czapeczyska na uszy i w ślad za dobrodziejem swoim pobiegł.

Otóż meści panie, długi czas nie widziałem go potem, i anim wiedział co się z nim stało.

Dobrze w lat kilka potem, już ja byłem sam patronem i jak dziś pamiętam, miałem właśnie przypadającą sprawę w trybunale panów Frączkiewiczów z wdową Dulibską Frączkiewiczówną z domu, gdy idąc na sesję, a spiesznie krocząc na górę, postrzegam między palestrą nową, a jednak coś mi znajomą twarz. Nie było czasu rozpatrywać się, rzuciłem okiem i poszedłem dalej.

Sprawa poszła dobrze, bo chociaż ja nigdy z drugimi na wybiegi nie chodził i nie zwycieżał przeciwników pedzeniem rejestru, nadrabianiem kondemnat; jakieś panowie Frączkiewiczowie opatrzywszy się sami że źle być może, a mając już *praeliminaria* do zgody poczynione, kondemnowali się dobrowolnie. Tym czasem przywołano inną sprawę, a że ta była nie malej wagi i po wysłuchaniu głosów, instygator z woźnemi wywołali — na ustep — jam nie czekając solwowania sesji, zszedł ciągnąc do domu. Przechodząc мимо, kiedy stała balastra palestrowa po wschodach i podłe furty, wyzywając na kije, obejrze się, i znów postrzegam tę znajomą mi twarz. Zastanowiłem się, pogłądał.

— U kogo waszność służysz? spytałem.

— Kto waszności powiedział, że służę? odparł zaczepiony.

— Z przeproszeniem, z czyjego dworu?

— Z niczyjego. — Ale za drugą odpowiedzią uśmiechać się począł. Ja, muż szukać po gławie, co to za

fizys tak mi znajoma i wpadam na myśl, że to ów Janek żebrak, którego był wziął z sobą Przepiórkowski.

A on do mnie:

— Jaka to krótka pamięć u waszmości. Toć nie przypominacie sobie owego żebraka coście mu dali tyńfa?

— Jesteście jeszcze przy Przepiórkowskim? spytałem.

— Dotąd — odpowiedział, ale wkrótce spodziewam się pójść swoją siłą i swoim dworem.

Ruszyłem ramionami, poszedłem i zapomniałem o wszystkim. Człowiek tam wówczas nie mógł o tych fatataskach myśleć, bo miał na głowie nie mało.

Znowu jakiś czas minął. Miałem, pamiętam gorzką sprawę, co mię niemalo zdrowia kosztowała, a źle mi się wypłaciła! Promowowałem rzecz panów Zalepskich z ichmością panem starostą Krasnostawskim, o ekspulsji i gwałt. Stawie się na sesję i zaczynam rozmawiać z towarzystwem już o mojej sprawie, już o innych, gdy oko w oko spotykam się znowu ze znajomą ową twarzą Janka. On mi się bardzo kłania. Widzę go z plikiem papierów pod pachą. Co wać tu robisz?

A co waszmość? patroluję!

— Już?

— Jak widzicie. Pan Przepiórkowski chory, pierwszy raz na jego miejscu stoję, a choć sprawa mniej ważna, mam na sercu, abym się popisał!

Zaczeto wołać z rejestru jak gradem sypał zapisując, konde mnaty po konde mnatach i pędząc. Mnie tu chodziło o to, aby utrzymać stannosc i niedopuszczyć, aby i nas skonde mnowano. Jakoż tedy z pomocą instygatora, udało się mi wykrzyknąć i sprawa przywołana została. Już jak tam ona poszła, nie należy do naszej rzeczy. Tandem, ledwie otarł pot z czoła, słyszę znowu wołanie i piskliwy głos, odzywający się na nie.

— Przywołują; spojrzę, mój Janko u krutek i głos podnosi.

Uwierzycie, czy nie, ale takie to lichy było przytomne, takie wyszczekane, że mimo iż raz pierwszy stawał przed takimi personatami, których się i stary nie jeden uląkł, mimo że nie miał wprawy, że w po-

czątku nikt go nie słuchał, począł tak rażno, dobitnie i z taką elokwencją, iż wszystkich zadziwił. Poczęto go słuchać, a o mało nie applaudować, tak pięknie, jasno, i ozdobnie rzecz wyłuszczył; a z taką mosanie sztuką demonstrował świętą sprawiedliwość sprawy swej, krzywdę strony i konieczność osądzenia przeciwników srogiego, przykładnego, iż widocznie chwycił wszystkich, i ujął jakby żelazną ręką.

Marszałek, prezes, deputaci, szeptali między sobą, rozpytując się, kto by był ten nowy przybysz i roknając wielkie po nim nadzieje. Na twarzach sędziów malowało się powstające przekonanie osłuszności sprawy, wzrastające, zwyciężające wszelką niepewność i wahanie.

Jak skończył, mosanie, nie było co i gadać adwokatowi strony przeciwnej, bo go nikt nie słuchał i wydał się on ze swoją obroną, choć to był wytrawny człowiek i jak to mówią wyga, jakby klaki miał w gębie. Śmiałości mu też brakło i nadzieja zwycięstwa odpadła; powiedział swoje jak pacierz i zamilkł skonfundowany.

Ani wątpliwości nie pozostało o dekrete, ferowano go na korzyść strony, której bronił Janko. Ja osłupiałem i pamiętam pierwszy wówczas wyrzekłem, kiedyśmy się zebrali na gawędę w czasie ustępu: że z niego będzie człowiek i prawnik zawołany; że pójdzie daleko.

Jego już nie było, posłyszawszy o dekrete, poleciał do Przepiórkowskiego, aby mu swój tryumf opowiedzieć. Ale chory niespełna jeszcze wierzył, gdy potwierdzając doniesienie i myśmy unu przybyli zwiastować sukcesa wychowańca.

Stary Przepiórkowski leżał pedogłą srogą trapiiony w łóżku i stękał bardzo na okropne bóleści w nogach. Pamiętam, gdym do niego przyszedł i poczęliśmy mówić o Janku, obejrawszy się chory, rzekł mi po cichu:

— O zdatności nigdy nie wątpił, ale sam Bóg wie, jak jej użyje! Daj, aby dobrze, bo o to sie bar-

dzo lękam, miałbym na sumieniu tę kreację.

Jakoż wkrótce potem Przepiórkowski od tej nieszczesnej pedogry, co mu się wędrując przeniosła do żołądka, skończył. Żałowaliśmy go wiele i cała palestra, wiele nas było, szliśmy za pogrzebem, na smentarz ojców Kapucynów, kiedy ja miałem oracją w imieniu nas wszystkich. Szukałem oczyma Janka, ale go tam nie postrzegł i myślałem że albo w domu pozostał pomagając wdowie, albo kiedy się schował, aby łez nie pokazać. Aliście pokazało się, że jako żywo nie był nawet na pogrzebie i ledwie oczy zamknął dobrodziej, on zabrawszy swoje i nie swoje podobno manatki, przeniósł się zaraz na inną kwatere. Już to było nie bardzo szlachetnie; ale jeszcze polatawszy. Tandem, jak to zwykle bywa, że póki mąż żyje, póty się i substancja jakoś takos trzyma i interesa idą; ledwie on umarł, uieboraczka żona zarzucona została pozwami.

Krewni mężowscy unieważniając testament uieboszczyka, poszli z nią o majątność, którą miał uad Wieprzem, mil ztąd cztery. A już Janko hołota, jak go wprzódzy zwali, potem Imci pau Paprocki, owem wystąpieniem pierwszem i uastępnemi próby, wzbił się był w reputacją i renome wielką.

Ludzie lubią uowe sitko, to też do niego jak w dym sypali się ze sprawami. Wdowa pani Przepiórkowska prosi go, aby jej wziął, z drugiej strony tentują krewni mężowscy. I co pan powiesz, ot zgadnij czyją sprawę przyjął?

— Jużcić wdowy — rzekł palestrant.

— Byłem pewny — odpowiedział stary uśmiechając się i idąc do kubka — że nie zgadniesz.

— Przyjął więc sprawę krewniaków?

— Tak, a że znał doskonale słabą stronę sprawy sieroczej, znał papiery, wiedział w co bić, osadził tedy nieszczęśliwą wdowę swego dobroczyńcy na bruku! A cóż, nie dobry początek?

Palestrant zmilkł; Prozorowicz mówił dalej:

— Wszyscy, gdy się to rozeszło, wzgardziliśmy nim i odstąpili go, ale on o to dbał jak pies o piątą nogę,

mówiąc po prostu. — Odtąd, po wygranej przeciw Przepiórkowskiej, stał się patronem spraw djabelskich. Leźli do niego źli ludzie zewsząd, i co najgorsze, najniepewniejsze, najohydniejsze sprawy przyjmował. Kiedy się nikt z palestry podjąć procesu nie chciał, wyprawiano stronę do Paprockiego, a on odarłszy sowito, brał go z najzimniejszą krwią do prowadzenia. Nabijał trzos szybko, bo sumienia swojego zaparł się zupełnie. A przez to szperanie, ślęczenie, sztukowanie, jakby ze złej sprawy zrobić dobrą, jakby czarne pokazać białem, nabył przy swoim naturalnym dowcipie takiej znajomości prawa, prawności, form, że starzy co zęby zjedli u trybunału, nieraz mu się dziwowali. A choć wszystko co było pocziwego stroniło od niego, jednak każdy aktor, gdy przyszło do konferencji, wyprosił u nas, żeśmy go powołać na nią musieli.

A jak w początkach, ta jego impudencja, bezczelność, niezmiernie nas razila, tak po ludzku, ocierając się o tego człowieka, oswoiliśmy się powoli. Dziwny był jednak zawsze!

Drugi mesanie, choć ufarbuje lisa, to nastawi się, pokazując że niby ma słusność, a on nie, wprost tylko demonstrował zawsze, że ma *prawo* za sobą. — Ale słusność, ale sprawiedliwość! wolano. On się śmiał pogardliwie. — Nie daleko z nią zajedziecie! odpowiadał.

U niego było przyporządko ludzi, co innego nie mieli; brał bowiem nietylko sprawy zesperowane jako niesprawiedliwe, ale niepodobne do wygrania dla braku dowodów, lub przemocy strony przeciwnej. Te procesa wiódł on nie dla czogo innego, tylko dla podwyższenia jeszcze renomy swojej. A tak mu się szatańsko szczęściło, że gdyśmy nieraz szli o największe zakłady, że przegra, on jak piórko zdmuchnął, odniósł najniespodziewańsze zwycięstwo.

Gdy to potrwało, niepodobna aby nie nabił dobrze trzosa, bo często-gęsto i grubo brał za konferencje i za sprawy, a nie nie tracił. Koutuszyna na nim, jak go dziś widziałeś, wytarty, mizerny; koni, kolaski nie

niał, sług nie trzymał, obchodził się jednym fagasem, a nigdy nikogo do siebie nie poprosił, nigdy z nikim nie wypił, chyba za cudze pieniądze. Stał na Grodzkiej, ale w komnatach od tyłu, chłodnych, czarnych, pustych, gdzie tylko papierów było mnóstwo, kilka zydlów i nic więcej. Obszarpana kucharka gotowała mu jeść na kominku. Co z pieniędzmi robił, nikt nie wiedział, bo sum nie lokował, ziemi nie kupował. Skryty, nikomu i nigdy z niczem się nie powierzał, nikogo o radę nie poprosił, nikomu jej też darmo nie udzielił. Z ludźmi śmiały był i szyderca, a miał tę pasję że każdemu w brew mówił najczarniejszą prawdę, jakby blotem w oczy schlusnął. Zdaje się chciał wszystkim pokazać przez to, że nie on sam jeden był czarny.

Nieraz przychodziło do wyzwania, do rozprawy, ale jej się nie uląkł, kat go wie, czy nosząc papiery za nieboszczykiem Przepiórkowskim i bijąc się w kije pod trybunalskiej furty nauczył się rąbać, czy gdzieindziej, ale bił się tego i z taką zimną krwią, że zawsze pokiereszował kto mu się nawinał.

— Takie to były mości panie, mówił dalej Prozorowicz, początki tego człowieka i szczęśliwe wyjście na świat. Z nedarza, odartusa, raptem wyszedł na sławne go i już wziętego patrona, tandem i konsyderacja jakaś z renomą mu przyszła. Nie mówię aby go szacowano, ale mając za wielce zdatnego i dowcipnego, używano go wszędzie. Nie obeszła się konferencja żadna bez niego, a nieraz z konfuzją starszych pokazał jasną drogę, gdzie oni nie widzieli nic prócz ciemności.

Sprawy, kiedy mu ją demonstrowano, słuchał w milczeniu, dając wszystkim wygalać się ile chcieli. Gęby nie otworzył aż wysłuchał wszystkiego za i przeciw; potem jak zaczął mesanie, to dopiero każdy zmilkł, bo wykladał sytnacją procesn, położenie stron wzajemne, prawność wypadku, dobrą i słabą stronę, jakby tylko koło tego całe życie chodził; potem kiedy skonkludował nie było już co gadać. — Pamięć i pojęcie miał i ma po dziś dzień nad podziw!

W tym czasie jakoś przypadła sprawa jego rodzo-

nych stryjów, nie wiem tam z kim i dla czego, przed nasz trybunał. — Jak się o tem dowiedział, tak nie spał i nie jadł i nie spoczął, póki adwersarza obrony nie wziął; a choć ten mu się opłacić nie mógł, choć miał wiele podtenczas na głowie, uparł się koniecznie stanąć w tej sprawie. Panowie Paproczy, jak się o tem dowiedzieli i posłyszeli co to za jeden nasz patron, jak im powiedziano że niechybnie przegrają, biedacy do niego. On w targi z niemi. Naprzód musieli go przyznać rodzonemu synowcem, na co dowodów literalnych nie było, choć wszelkie podobieństwo zkądinąd; potem coś mu z substancji ojczystej, zagrabionej dawniej, spuścić; dopiero on zrzekł się sprawy adwersarzy i zrobiwszy co chciał, dał im pokój.

— Ale to się i ciemno już robi i sucho w dzbanie, dodał Prozorowicz, a do końca historii daleko, dopiero się ona, prawdę rzekłszy, poczyna.

— I mnie też czas do domu, rzekł palestrant powstając; ale na jutro zamawiam sobie resztę.

— Z całego serca, po sessji — podchwycił Prozorowicz wytrzeszając z kubka ostatki miodu, którego sam prawie wszystek wysączył — po sesji znowu do Matjasza proszę. Najciekawsze dopiero na jutro pozostało, choć i za jutro nie ręczę czy dokończy.

Widocznie zniecierpliwiony palestrant ruszył ramionami.

— Chciałbym, rzekł do siebie, wiedzieć wszystko, a nikt go podobno lepiej nie zna, muszę więc wysłuchać co mi prawić będzie.

W tej chwili zjawił się usłużny gospodarz we drzwiach izdebki ze świecą w mosiężnym lichtarzu.

— Nie potrzeba nam świecy, rzekł Prozorowicz, bo już idziemy.

— Już? tak prędko? spytał Matjasz. Jeszcze na pacierze nie dzwonili u fary.

Prozorowicz wskazał, ruszając ramionami, palestranta, który w tej chwili dobywał sakiewki i płacił za miód.

— Ale jeszcze bardzo wcześnie — dodał mrucząc gospodarz.

— Ja muszę wracać.

Prozorowicz znowu poruszył ramionami, wskazując młodego.

— Ale jutro, dodał, miejcie gotowy dzbanek miodu dla nas, skoro po sesji nadejdziemy tu.

— Będę czekał. — Matjasz się skłonił i wychodzącego eks-mecenasa z westchnieniem ścisnął za kolano.

— Ej! gdzie to nasze dobre czasy, panie! — odezwał się.

— Zachciałeś, tam gdzie wszystko dobre, w pamięci mój stary, w sercu! Dobranoc!

ROZDZIAŁ IV.

Nazajutrz, za ledwie instygator *saecuritatis* ze zwykłą przy tym obrzędzie ceremonją odniósł z sali sądowej krzyż i laskę marszałkowską, Prozorowicz już nie zwracając się do swojej kwatery, wprost udał się do Matjaszowego szynku z palestrantem. W tej godzinie zwykle wszystka hałastra trybunalska, odwiódłszy panów na kwatery, rozbiegała się po gospodach i nacie-rała na kufle. — Ledwie się też do Matjasza docisnęli, u którego napływ gości zawsze był wielki. I nie dziw: gospodarz grzeczny, gospoia jeszcze niczego a potulna, miód wytrawny i dobrą miarą.

Matjasz sam powiódł na górę Prozorowicza, a ten rozsiadłszy się wygodnie i wzięwszy oburącz kufel, posmoktawszy, rozsmakowawszy się, tak zaczął dalszy ciąg swojego opowiadania:

— Już tedy moiści panie, widzieliście naszego Malapartę z żebraka patronem, a patronem wziętym, szlachcicem wyprobowanym i wedle wszelkiego podobieństwa kapitalistą. Ale to dopiero jego kreacji początek. Idźmy tedy do reszty!

Pod ten czas mieszkała w Lublinie niejaka wdowa Mrozicka. — Była to nieszczęśliwa kobieta, wyzuta z pięknej niegdy w Inflanciech substancji, imienia znakomitego baronówna Gelbsteru z domu, mająca tylko jedynaczkę córkę. Wyszła ona była z affektu szczególnego, nie wiele bacząc na przełożenia dumnej familji, za ubogiego szlachcica, niejakiemu Mrozickiego, co wojskowo służąc, poznał ją kiedyś w Inflanciech, rozkochał, a potem wykradłszy, gdyż familja na związek dozwolić nie chciała, ożenił się z nią. Na ową panią Mrozickę przypadała wielka część dóbr znacznych w In-

flanciech, którą bracia po wyjściu za mąż siostry przeciw ich woli, zagarnęli, wydzielić jej nie niechcąc. Po braciach, którzy bezpotomnie zmarli jakoś, owe majątności wielkie poszły w drugą linją, i tak nieszczęśliwa wdowa została się bez wszelkiego sposobu do życia. Ale póki mąż żył jakoś się to dźwigało i jakoś się trzymało. Rozpoczęto nawet proces o owe dobra, którego manifestami tylko podtrzymywany dalej, aby przemilczenia nie dopuścić, poszedł *per non sunt*. Mrozicki ruchawy był człowiek i radę sobie, mimo doskwierającej biedy, dawać umiał. Chodził posesjami i tak na kawalek chleba zarabiał. Ale co Maciek zrobił, Maciek zjadł; jedną stronę weszło, drugą wyszło. Nieborak chorował, pracował, pocił się, chodził do Gdańska, frymarczył wołami, handlował końmi, a wszystko to, aby pocziwej żonie, przywykłej do wygod i swobodnego życia, na niczem nie brakło. Kochali się jak gołąbiat dwoje, a to po staremu, nie dwa albo trzy miesiące, ale z laty coraz mocniej i serdeczniej.

Jejmość błogosławiła dzień i godzinę, w której zaufawszy mu za niego poszła, nieposłuchawszy swej familji i wyrzekłszy się dlań nie tylko majątności ogromnych, znaczenia, ale nawet wszelkich z rodziną związków.

Owocem tego małżeństwa była jedynaczka córka, piękności matczynej, dobroci ojcowskiej, dziedziczka. Wychowali ją pieczęjąc we dwojgu i chuchając na nią, jak na najdroższy swój skarb. Tymczasem z tej niezmiernej pracy, z wozu na wóz, z konia na koń, ba i na czółen nieraz przesiadając Mrozicki, zaczął podupać na zdrowiu, cherlać, cherlać, a że się czem bardziej czuł słabym, tem więcej ze strachu zmagał, dobił się wiec i z wielkim lamentem żony, Panu Bogu ducha oddał.

Opisać co się tam działo nie można; bo gdyby nie córka, dla której życie cenila, będąc jej jedyną podporą, wdowa byłaby dobrowolną śmiercią zmarła. Patrzeć na nią nie było można; srodze ją Bóg pokarał za nieposłuszeństwo familji i samowolny obiór męża.

Do wielkiej boleści jej przyczyniły się jeszcze nowe, postronne okoliczności. Kontrakt dzierżawny, uczyniony na lat dwanaście z nieboszczykiem, który z góry na lat kilka opłacił znaczną summą, nieostrożnie pisany, na samo imię jego był sporządzony.

Korzystając ze zřeczności, nielitościwy dziedzic a raczej jego pełnomocni, (bo to był personat wielki i znakomity senator) wyrugowali wdowę z majątności, osadzając ją na bruku, bez sposobu utrzymania się, a nawet dochodzenia należitości. Namalowano do dzierżawcy pretensyj muóstwo o dezolację majątku, zniszczenie chłopów, rozrzucenie budowli i t. p., i nietylko że tem skasowano pretensje wdowy, ale jeszcze zagrożono poszukiwać na niej wielkiej summy, zatrzymując na satysfakcję na gruncie wszelka rachomość. Tak nieszczęśliwa Mrozička z owych dostatków, spokojności, szczęścia, nagle została pogrążona w najostatniejszą prawie nędze, salwowawszy się ledwie z klejnocikami i porządeczki niektórymi, co je zaraz spieniężyć za bezcen w Lublinie żydkom musiała, aby miała żyć z czego. A jakkolwiek tanio posprzedawała ostatki dostatków, jeszcze to dość piękną uczyniło sumkę, mogącą wystarczyć na kawałek czasu komu innemu; ale ona nieprzywykła była do oszczędności, nie rozumiała jej, obejść się łada czem nie mogła, dziecku ukochanemu nie odmówić nie potrafiła. Do tego wdawszy się w procesa z familją swoją i dziedzicem majątności, którą mąż wydzierżawiał, reszty pozbyła; a wpadłszy w ręce takich prawników, co z niej ciągnęli póki mogli, sprzedając ją adwersarzom, zubożała z kretesem. Powoli, powoli, z pięknego domu, którego najmowała, zeszła na kilka izdebek; ze sług kilku, na służbę jedną, potem na stancyjkę ładającą i odartą babe. Ale nie skarżyła się, nie płakała pocziwa matka, póki dziecięciu było czem dogodzić, z siebie zdejmując dla niego, sobie skapiąc, aby ono miało dostatek. Gdy zaś przyszło do tego, że kilkonasto-letnia już dziewczyna, coby ją czas świata pokazać, w czem na ulice wyjść nie miała, a często razem z matką w domu głód cier-

piała — wdowa biedna! rozpaczając poczęła niewymownie.

Jej o dziecko ukochane tylko chodziło.

To też długo Róża nie wiedziała, nie rozumiała nędzy, co ją otaczała, kłamała przed nią matka świętemi usty, aby okrutną jak najdłużej pokryć prawdę. Póki mogła nie odmówiła jej niczego, pościła sama, aby ją napaść łakociami, aby ją ustroić. A gdy sługi opłacić nie stało, została sama służą, z zakrytą twarzą chodziła sama po wodę, nosiła drwa i tając się z tem co czyniła, udaną wesołością pokrywała przed dzieciciem co cierpiała. A zdarzyło się zachorzeć, dobywała sił co w niej było; bo na samą myśl śmierci truchlała i czuła, że umrzeć by nie potrafiła, zostawując tak córkę najmilszą, samą jedną, bez opieki, bez funduszu, nie znającą nic świata.

Wkrótce i kłamstwo i udawania przebrać się musiało; kłamać dłużej było niepodobna. oszukać już nie można. Róża poczęła poznawać prawdę i pięknie zapłakała oczy, opatrzywszy się za późno co matka przecierpiała dla niej.

Tymczasem nędza szybkim postępowała krokiem, niosąc torby na ramionach. Na listy do familji, do dziedzica pisano żadnej nie odebrała odpowiedzi Mroźnika, a na każdy dzień, co go było przeżyć potrzeba, przedawano ostatki, do koszul i odzienia, których już nie wiele co miały i na długo wystarczyć nie mogło.

Naówczas matka poczęła się często wydalać z domu, nie wiedzieć dokąd i po co. Róża całe godziny siedziała w oknie czekając na nią, a od wracającej nie się dowiedzieć nie mogła, prócz że była albo w kościele, albo u znajomych, których u siebie przyjmować nie mogąc, odwiedzała. — I nie wiedzieć zkąd pokażało się trochę pieniędzy których matka dla siebie nie użyła, córkę tylko ukochaną ciesząc, przystrajając, bawiąc, a sama całusem dziecka się zadawałniając. I ilekroć powracała z tych wycieczek matka, to siadłszy chwile wypocząć, drżała i płakała gorzko, aż nie rychno pieszczoty Rózi rozchmurzyć ją potrafiły.

Cóż robiła myślicie, biedna matka? Ona zebrała pod kościoły, z ostatnią szują, z dziady i sprosnemi babami, co ją potracaly, co ją bily, odpychaly i nie raz za grosz rzucony walkę z niemi staczać musiała. Ona nie wstydziła się kolatać do drzwi znajomych i wyciągać wyschlą rękę i jęczeć prosząc litości! Nie dla siebie to czyniła, ale dla dziecka! A Różia nie o tem nie wiedziała, jadła spokojnie ten wyżebrany i wyptakany grosz!

Przypadek ją oświecił. Późno raz w noc matka nie powróciła. Dziewczyzna przywiedziona niespokojnością do szaleństwa prawie, wybiegła jej szukać i dopytując się trafiła na matkę, zamkniętą z innemi żebrakami posądzonemi o kradzież. Jak to ujrzała, omdlała dziewczyna, i tyle litości było w straży owej i urzędzie, że zaraz matkę z córką wypuścili! — Różia przyszedłszy do domu, porwała krucyfiks z nad łóżka i ukląkłszy przysięgła, że matce więcej krokiem wyjść z domu nie dozwoli.

— Dosyćście zrobili dla mnie, zawołała, więcej niż którakolwiek w świecie matka, teraz czas, abym ja dla ciebie córką się stała i podpora, nie ciężarem jak byłam dotąd!

Wiele się tam przez te okropną noc łez wylało, a uściski macierzyńskie zbolełe serce na chwilę zgoiły. Ale zaświtał ranek, zagadał głód, i gdy już młoda Różia znużona nocą bezsennością i tyłą wzruszeń usnęła na miękkim łóżeczku, matka przemyślała, co jeść będą i co poczną z sobą?

Przed nią stała przyszłość czarna jak noc i bez jednej gwiazdy, bez najslabszego światełka nadziei!

Trzeba zaś wiedzieć, że od początku jak przybyła do Lublina pani Mrozička, i kiedy jeszcze lepiej się trochę miała, a prawników na konferencje wzywała, nasz Maleparta, wezwany do niej, poznał ją, rozpatrzył papiery, spenetrował sprawę i odtąd oka z niej nie spuszczał.

Jak pies, co tem dłużej wytrzymuje aby pewniej pastwy swej dopadł i pożarł ją, on dozwolił wdowie

dojść de największej nędzy, aby łatwiej potem na swą korzyść nieszczęście jej obrócić. Wiedział on i wyrachował, że wszystko zrobi co zechce, gdy wyciągnie ku nieszczęśliwej matce rękę, kiedy ostatnia rozpacz ją ogarnie. Mieszkając nie opodał, śledził niecierpliwie postępy niedostatku, wiedział jak stopniowo dochodzili do nędzy, jak się wyprzedawali, jak odprawili sługę, jak matka wreszcie żebrać poczęła. Ostatni wypadek także doszedł jego uszu i zmiarkowawszy że czas już przystąpić do dzieła, postanowił nazajutrz być u wdowy.

Zamiarem jego początkowym było, jak sam potem powiadał, nabyć u nieszczęśliwej, za mało co, pretensje jej do familji i do dziedzica dóbr niegdyś dzierżawionych. Budował na tem przyszłą swoją fortunę, tem większą, że się spodziewał nabyć je prawie darmo.

Nazajutrz po owej nocy bezsennej, z rana (słyszałem to z ust jego własnych) zapukał do drzwi wdowy, która nieprzywykła do odwiedzin, a sądząc że się omylono, nie odpowiedziała nawet na pierwsze wezwanie. Zapukał raz drugi. Dopiero powstała i poszła otworzyć po cichu, aby dziecka nie zbudzić. Maleparta wszedł z ukłonem, na palcach, bo mu wdowa milczenie zalecała, bojąc się obudzić Rózi. I miała słusność; w ich położeniu, sen był jedyną chwilą swobodniejszą i jedyną chwilą zapewnienia szczęścia. Maleparta spojrzął i przekonał się oglądając izdebkę, że się nie pośpieszył wcale. Nic w niej nie było, prócz łóżeczka jeszcze jako tako pokrytego Rózi i siennika matki, leżącego na ziemi. Ona z nabożeństwa niby, zmyślając ślub sypiania na twardem, ostatniego łóżka odstąpiła dziewczynie. Nad głowami jego zawieszane były świętości wszystkie i relikwie różne, szacownie oprawne, ostatnia po przodkach puścizna.

Kilkoro sukien mizernych, między którymi Rózinie świeciły, leżały na zydlu; dzbaunek stał u drzwi, bułka chleba na stolyczku. Izdebka była ciasna, ciemna, nizko sklepiona, wilgotna, cegłą wyłożona i przez kraciaste okno nie wiele miała światła.

Maleparta postrzegł na łóżeczku leżącą Rózię, która

tak zasnęła, jak była na nie ze znużenia upadła. Błada z zamkniętymi oczyma, rozsypanymi jasnymi włosami, złożonymi na pieśniach rekoma, spała w czarnej wyszarzanej sukience, w obłożonych trzewiczkach, po wczorajszej bieganinie. Wydała mu się piękną, jak nigdy żadna kobieta, i ten człowiek, co w życiu swoim nie zwrócił oka na dziewczynę, nie pożądał małżeństwa i drwił z wiążących się, jak powiadał, łańcuchem do półgodzinnej rozkoszy — pierwszy raz spojrzawszy na to drobne, małe, cienkie, wychudłe, wybladłe dziewczę, zrozumiał jak to się ludzie dobrowolnie żenić mogą na przyszłość nie bacząc.

Tak go z razu ten widok pomieszał, że i z matką z inszej już beczki zaczął, niżeli myślał; ale zaraz rozrachował, że na tem pewnie nie straci, jeżeli nie zyszcze.

Gdy więc wdowa spytała go, co może mieć za interes do niej, odpowiedział, że znając jej położenie przyszedł jako sąsiad spytać, czyli czego nie potrzebuje.

— Wiem, dodał, że pani masz dalekie nadzieje odzyskania substancji własnej i meżowskiej, bo swego czasu byłem przez nią wzywany dla porady w interesach. Mógłbym więc coś na rachunek ten postąpić.

Mrozicka myślała, że Bóg ulitowawszy się nad jej nędznym stanem i nad dzieciciem ukochanem, zesłał jej z niebios anioła, i omal nieskoczyła go w ręce całować.

— A! jeżeli wielmożny pan możesz, jeźlibyś chciał nam dopomódz, zawołała, całe życie moje dobrodziejstwa twego nie zapomnę!

Maleparta nie mówiąc dobył sakwy z zapasa i wyliczył kilkanaście talarów.

— To tymczasem, rzekł, uio ofiaruję wielmożnej pani datkę, bo byś nie przyjęła. Mam zamiar wziąć na się jej interes, więc o tem pomówimy później i porachujemy się. Wyszukajcie tylko papierów jakie macie, abym mógł rozpatrzyć się lepiej w tej rzeczy, bo pełna nie pamiętam wszystkiego.

Mrozicka zobaczywszy pieniądze, posłyszawszy obietnicę, mało nie oszalała z radości i odprowadzając za drzwi błogosławiła go po tysiąc kroć. On się śmiał w duchu, a łajał siebie, że mu ciągle w oczy laźla błada twarzyczka Rózi, która na swoim łóżeczku tak spokojnie spała.

Zaledwie wyszedł, Mrozicka nuż przetrząsać matków resztę i wyszukiwać ostatniej spnścizny swej, papierów. Zwlekła je zewsząd na jeden stos i owinąwszy w chustkę, czekała przybycia Maleparty.

Obudziła się Rózia; przetarła oczy, chciała biedząc sądzić że matka spi, za wodą, za ogniem do sąsiadki. ale się zadziwiła, znalazłszy ją liczącą oberżnięte talary na stoliku.

Z początku przecierała oczy, myśląc że to sen był jeszcze, potem wykrzyknęła wielkim głosem podziwienia:

— Cóżście zrobili, cóżeście zrobili matko? I rzuciła się jej na szyję.

— Zkąd te pieniądze? powiedz.

— Bóg się ulitował i zesłał nam dobrego człowieka, przyszłość się uśmiecha, nadzieja zabłysła, podziękujmy mu, może odzyskamy choć część tego, co nam należy — może. Pewna jestem, że nie moich ale twoich Bóg prósb wysłuchał, ty mu więc pierwsza podziękuj, ja z tobą.

I uklekły obie. Maleparta, co się był zawrócił i podedrzwiłami słuchał, rzekł do siebie:

— Dobra nasza, łatwo pójdzie sprawa, już Pann Bogu dziękują.

ROZDZIAŁ V.

Powróciwszy do domu wziął na głęboki rozmyśl, jak miał sobie postąpić (sam mi to później opowiadał). Widział wielką łatwość nabycia wszystkich pretensyj wdowy, które, czynnie około tego zabrawszy się, windykować było można, choć w części. Część zaś ta jeszcze pocziwą, szlachecką, ba prawie pańską uczyniła by fortunę. Mógł więc nabyć ją za bardzo małą kwotę, zwłaszcza że wdowa była w ostatniej potrzebie, bez pomocy, bez przyjaciół, bez sposobu dochodzenia swej należności, i nie rachowała już wcale na odzyskanie ostatnich fortuny, której wartości nie wiedziała. Mógł nabyć pretensje Mroziekiej albo za pewną raz wypłacić się mającą sumnie, albo za dożywotnią pensją, do wyboru własnego. Ale teraz począł skrupulizować, a raczej zastanawiać się nad własnym projektem, któren mu się wydał niedoskonałym.

— Jeżeli nabędę i odzyskam fortunę wdowy rzekł w sobie, i tak już na mnie rozdrażnieni ludzie, większe jeszcze *larum* podniosą. Wdowa może się opatrzyć co utraciła, znajdą się pomocnicy, córka dorasta, ktoś ją weźmie; mogę mieć kłopot, proces, albo nieustanny niepokój na głowie. Gdybym zaś sam ożenił się z małą, dochodził bym, w skutek zrzeczenia się matki, własności mojej; nikt by słowa na to rzec nie mógł. Z drugiej strony, nawiesić sobie na kark dwie baby i spętać się ożenieniem??

Tu znówu jął myśleć i przemyślać.

Z małą co zechcę to zrobię, świata nie zna, młoda jeszcze, da się ukształcić jak zażądam. Matka przycierpiawszy biedy, i będąc spokojną o jej przyszłość,

cicho w kącie siedzieć będzie. Tak by było lepiej, zdaje mi się.

Kilka dni bijąc się z sobą Maleparta, nie szedł do wdowy, nie mogąc się zdecydować, jak z nią mówić i w jaki sposób kończyć przedsięwzięte dzieło.

Nareszcie, jak zwyczajnie człek wahający się między dwoma ostatecznościami, zdawszy rezolucją stanowczą na inspirację momentu decydującego, poszedł do pani Mrozickiej.

Ona już na niego od dni kilku niespokojnie czekała. W ubogiej i ciemnej izdebce, z trochę ulgi i dostatku, zaraz inaczej się zrobiło, weselej, jaśniej. Łóżko matki i córki świeżą zasłane były bielizną, sprzęty niepotrzebne pochowane, na stoliku w szklance świeże kwiatki miała Różia, podłoga tatarakiem potrząśnięta, okienko korzystając z piękniejszego dnia otwarte. Matka modliła się na niemieckiej książce, jedynej z domu rodzicielskiego wyniesionej po matce pamiątce; córka śpiewając, jak podskakujące jagnię które na swobodę puszczą, latała od lusterka w którym się przeglądała, do szuflady, gdzie były złożone jej sukienki i wstążeczki.

Jak Maleparta zapukał do niskich drzwiczek na rygiel zamkniętych, domyśliła się wdowa kto przychodził, i szybko odrzuciwszy książkę, pospieszyła otworzyć, zalecając Rózi, aby bardzo grzeczną i wdzięczną przychodzącemu okazała się. Dziewczyna jak stała, tak wyciągnawszy białą szyjkę, we drzwi wlepiła oczy, ona zapewne spodziewała się ujrzeć anioła wybawiciela młodym, świeżym, pięknym i wesołego oblicza. Jakże się zmyliła gdy wszedł Maleparta, nie odrażającej prawda brzydkości, bo raczej przystojnym by się mógł nazwać, ale odrażającego, niemiłego wyrazu twarzy. Nie stary jeszcze wówczas, już miał fizys tych ludzi, co nie zuali młodości i wcześniej postarzelili na duszy. Oczy wpadłe, policzki blade i pofałdowane, usta ściśnione, czoło zmarszczone, wejrzenie jakieś chytre, przenikające i onieśmielające człowieka a dreszczem przejmujące jak oczy gadziny. Pomimo że wchodząc, gdzie się spodziewał ujrzeć Rózię, starał się

przeciwko swemu zwyczajowi złagodzić wyraz twarzy, nie mógł tego dokazać, aby się nawet przejętej wcześniej wdzięcznością dziewczynie miłym lub choć znośnym wreszcie wydał.

Rózi, spojrzawszy nań, zimno się zrobiło, cofnęła się kroków kilka i niernachoma stanęła u swego łóżeczka.

On się skłonił grzeczniej niż zazwyczaj i postąpił ku matce, która mu zaraz bladą przedstawiła córkę. Rózia mimo szczerej chęci, ust otworzyć nie potrafiła i znowu cofnęła się w głąb izdebki.

Maleparta nsiadłszy, poczał o interesie mówić z panią Mrozicką, która zebrane ukazała mu papiery. Wiedział doskonale co w nich było, ale dla zabawienia dłuższego, udawał że je przegląda, niekiedy rzucając okiem z podełba na wystraszoną dziewczynę, co przyzwyczajona do łagodnego, uśmiechającego się oblicza matki, nie mogła się oswoić z surową i dziwnej ekspresji twarzą prawnika. Widoczny przestach w oczach Rózi malujący się, podobał się wielce przybytemu, który z niego wnosił o łagodnym charakterze dziewczyny. Nie bez tego żeby też jej piękność teraz go bardziej jeszcze niż wprzód nie zastanowiła. Spiąca nie pokazała mu była tych cudnych, niebieskich oczu, które teraz szeroko otwarte, z przestachem na niego patrzyły.

Przepatrzawszy papiery, Maleparta poczał znown mówić z panią Mrozicką i oświadczać się z chęcią wydzwignienia jej z przykrego położenia.

— Nie taję przed panią, rzekł, że windykowanie znacznej substancji jej dziedzicznej i meżowskiej wielkich starań, pracy i niemałych nakładów wymaga; ale mam wszelką nadzieję, że to się da z pomyślnym przedsięwzięć skutkiem i może jej szczęśliwszą zapewnić przyszłość. Proponowałbym pani, nastąpienie mi za pewną kwotę tych wszystkich pretensyj, ale zważam, że nie zechcesz zapewne córce swej krzywdy przez to czynić, a ja sam takiego nabycia nie żądam.

— O najszlachetniejszy z ludzi! — zawołała Mro-

zicka ściskając go za ręce — mówże i radź co mam począć.

— Wiele lat ma córka pani? — spytał Maleparta. Jakby namysławiając się.

— Szesnasty.

— Mogłaby więc — rzekł po cichu — wyjść za mąż, a człowiek szczęśliwy co by ją poślubił, najstuszej by mógł windykować na nią spadającą substancją. Potrzeba tylko aby jej los nadarzył kogo majątnego i znającego się na tem. Bo, jak sama pani wiesz z doświadczenia, nie tak to łatwo dojść choć słusznej, ale zaprzepaszczonej należytości. Tyle lat upłynęło, a ani nieboszczyk jej mąż, ani pani sama, nie uczynić nie potrafiliście.

— Manifestowaliśmy się.

— Manifestować się i płakać każdemu wolno, rzekł patron, ale to do niczego nie prowadzi. — To powiedziałszy, i niechcąc na ten raz nalegać więcej, pożegnał wdowę, zostawiwszy nieco pieniędzy znowu, a zabierając papiery, które ona z chęcią mu powierzyła wszystkie, nie zastanawiając się. Oznajmił przytem, że za parę dni powróci, a wychodząc jeszcze powtórzył:

— Potrzeba nam męża dla panny!

Matka westchnęła głęboko; te słowa bowiem budziły codziennie w jej sercu wrzący niepokój o przyszłości Rózi. Kto ją tak weźmie ubogą, kto ją zobaczy, kto się na niej pozna? Matka marzyła dla niej aniołów, zastępcę godnego po sobie, coby ją całe życie niósł tak kołysząc na rękę, jak ona nosiła, jak ją wypieścił mąż pocziwy.

Z chmurnem czołem usiadła znowu u okna, ale modlić się już nie mogła.

Rózia uwolniona od przytomności Maleparty, który ją trzymał jak przykutą w miejscu, poskoczyła i pobiegła ku matce.

— Prawda — szepnęła łaszcząc się i zarzucając jej ręce na szyję — że nasz zbawiciel wcale na aniołka dobrego nie wygląda?

— Co też pleciesz moje dziecko, alboż ci się nie podobał?

— Okrutnie, matuniu, okrutnie, jakem na niego spojrziała, ciarki po mnie pobiegły, zimno się zrobiło; a ile razy na mnie spoglądał, jakby mnie co w sercu kłuło. Oddychać nie mogłam, rzucać się nie śmiałam, jak kiedy we śnie zmora siedzi na piersi i dusi.

— Wstydzże się Róziu — co gadasz!

— Jak matunię kocham, tak mi było.

— Ale to nasz wybawca!

— Ja mu też bardzo wdzięczna jestem.

— I gdyby...

— Gdyby co? matuniu.

— Nie to, nie, moje dziecko, tak mi jakoś myśl przeszła przez głowę.

— Powiedzże mi ją.

— Była byś z niej niekontenta.

Dziewczyna z ciekawości jęła się matce przymilać i badać koniecznie.

— Co to za myśl, matuniu, przyszła ci tak straszna, że mi jej powiedzieć się lękasz?

— Myślałam moje dziecko, jakby to dobrze było, gdyby on się z tobą ożenił.

Różia porwała się, zakrzyczała, podskoczyła i cofnęła aż w drugi kąt pokoju. Matka spuściła głowę smutnie.

— A toż na co? dla czego?

— Miałabyś pocziwego męża, ja spokojność na starość i wytchnienie.

— Jeżeli to dla ciebie matko, najchętniej, jeżeli dla mnie —

— Już bo ci się przydało niewiedzieć co! Nie widziałas go tylko raz i tak go nie podobałaś sobie. Wcale przyzwoty i jeszcze nie stary mężczyzna. A słyszałaś co mówił o tobie, to pewnie nie bez celu. Dawał nam do zrozumienia, jakbyśmy wyjść z biedy mogły, i pewnie się oświadczy. Co daj Boże! dodała w duchu.

Różia spojrziała na matkę, pomruczała coś i prędko upamiętała się, a choć jej przykro się robiło na samo wspomnienie tego człowieka, ku któremu taki wstręt czuła, potrafiła się pohamować i odpowiedziała:

— Zobaczemy matko, a jeżeli dla ciebie potrzeba będzie ofiary nie tylko ręki, ale życia mojego, uczynię chętnie.

I rzuciła się w objęcia matki.

Matce lzy się puściły.

— Żadnej ofiary, Róziu, żadnej nie chcę, lepiej nędza, lepiej praca, lepiej co bądź, lepiej żebractwo, bylebyś ty była szczęśliwą. Rób co ci się podoba.

Następnych dni zostawione same sobie kobiety, wzięły na rozmyśl obie przyszłość swoją. Pani Mrozicka domyśliła się do czego zmierzała mowa Maleparty; Różia po przestraszn swym zmiarkowała, że tak być musiało, ale zastanowiwszy się, przyrzekła sobie w dnu, nie okazywać więcej wstrętu Maleparcie, pokonać go jeżeli można, i poświęcić się, jeżeliby była tego potrzeba, dla matki.

Siwiejące przedwcześnie włosy wdowy, jej cierpienia, jej niespokojność, tyle ofiar z jej strony, nakazywały dziecięciu tę jedną choć największą, bo z siebie i życia swego uczynić ofiarę.

Tymczasem dobroczyńca, dawszy czas do namyślenia wdowie, nie pokazał się prędko, wyrachował on tak, aby pomoc pieniężna przezeń dana, wyczerpała się i zostawiła znowu w przykrem położeniu panią Mrozickę, co nigdy rachować i oszczędzać nie umiając, nie dziecku odmówić nie będąc w stanie, prędko się znowu ujrzała przywiedzioną do zupełnego niedostatku. Ostatni talar zmieniony rano, już się wyczerpał wieczorem, oplaciwszy mieszkanie, kupiwszy potrzeb do życia codziennego, sprawiwszy coś Rózi — wdowa potrząsała próżnym woreczkiem, usiłując wyrachować, gdzie się nowe zapasy podziały, i jak tak prędko przebrać mogły.

Różia w kąciку, bawiąc się kwiatkami, spozierała na matkę ukradkiem i widziała z oczu jej myśl i niepokój. Nie jednak nie mówiła; powtarzając tylko w duchu uczynione postanowienie poświęcenia się, udania nawet, że jej to bez bólu i trudności przychodzi. — Dzień jeden, drugi tak upłynął. Wdowa wyglądała na-

próżno zbawcy, porządkowała izdebkę, potrzasała ajerem podłogę, wietrzyła otwierając okno, pościelała łóżko, chowała graciki — on nie przybył. Drzwi stały odryglowane na próżno. Drugiego wieczora pani Mrozicka przypomniawszy sobie, że oddała z rąk wszystkie papiery jakie miała i dowody swoje należytości, z żywą niespokojnością i prawie w gorączce spać się ukiadła. Różia teraz baczniejsza daleko i nauczona już nieszczęściem badać matkę, śledzić najmniejszego jej ruchu i zmiany twarzy, poznała dobrze co się z nią działo.

Ale młodość silniejsza jest nadzieją swoją której nigdy nie traci, choćby ją tysiąc kroć zawiodła, i Różia usnęła spokojnie, gdy matka rzucając się po twar-dem posłanin, powiek zmrużyć nie mogła.

Nadszedł dzień, a zo dniem nowe oczekiwanie. Oczyszczono izdebkę, wymieciono zwiedły tatarak, kupiono świeżego, uprzątnięto rzeczy i oczekiwano gościa. Gdy ku południowi zapukano do drzwi, pani Mrozicka i Różia razem z żywą niespokojnością poskoczyły ku drzwiom. Nie omyliła ich na ten raz nadzieja, — wszedł Maleparta.

Ale chmurnej twarzy, omglonych i posepnych oczów, straszniejszy niż kiedy, starszy i surowszy, blade i dziwniej pomarszczony. Na chwilę Rózi nawet odwagi myśleć o swoim poświęceniu zabrakło. Zapomniała o postanowieniu udawania weselości, swobody i zało-tnego uśmiechu. Dopiero po chwilce walki z samą sobą, wymogła gwałtem rozjaśnienie czoła i wykrzywienie ust nieszczere.

Maleparta, co przeszłą razą dość niezręcznie wydał się ze swoimi zamiary, teraz zdał się zapominać zupełnie o tem, co w ówczas mówił. Z kwaśną miną powitał wdowę, a na Rózię nie spojrzał nawet i zaczął zaraz utyskiwać na wielkie trudności połączone z wydobyciem od tak dawna zatraconej fortuny, którą ledwie wielkim kosztem odzyskać, wedle niego, było można.

— Tysiące w to włożyć potrzeba, mówił, i kawałek życia na ciężką pracę zaofiarować; a jeszcze zaręczyć

niepodobna, czy co z tego będzie. Nikt ewentualności procesu wyrachować nie potrafi.

Pani Mrozicka widocznie mięszała się, on nic nie zważając mówił dalej:

— Gdybym więc nabywać chciał pretensję pani, nie mógłbym jej chyba tak mało jak nic ofiarować, a to mało nie na długo by jej wystarczyło. Chciałem serdecznie, chciałem być jej pomocą i dałem tego dowody, ale rozpatrzywszy się w papierach, widzę wielkie, prawie nieprzelamane do pokonania trudności. Nic jeszcze stanowczo wyrzec nie mogę, muszę się namyślić, poradzić, pokombinować. Tymczasem przyniosłem nowy zasilek, którego pewnie potrzebujesz już pani.

— Ach, panie! przerwała mu Mrozicka, jesteś zbawcą naszym i wdzięczności mojej wyrazić nie potrafię.

Maleparta potarł ręką po zmarszczonem czole i spojrzał ukradkiem na Rózię.

Z przymuszonym na ustach uśmiechem, z udaną wesołością w oczach, stała ona z daleka o stoliczek oparta, serce jej biło przykrem, niewyrażonem bólesci uczuciem a zmuszała się do zalotnego oblicza, które chyba Malepartę zwieść mogło, jego, co kobiet całkiem nie znał.

I matka także spojrzała na Rózię i serce jej zaskakało, widząc ją uśmiechającą się. Ona tak pragnęła w niej zmiany, że w nią uwierzyła, i choć dziecię swoje znała jak siebie, dobrowolnie nie poznała wymuszonności wyrazu jej twarzy.

— Co to za smutne położenie, odezwał się Maleparta, w wieku panienki, siedzieć tak samotnej, zamkniętej i samej z sobą!

— O! miue dobrze, przerwała Różia, byleby matce dobrze, spokojnie było; ja nic więcej dla siebie nie pragnę!

— Najchwalebniejsze uczucie.

— Najpocziwsze z dzieci! — dodała z czułością matka.

— Mam nadzieję, że się to przykre położenie odmienić musi — rzekł Maleparta.

— O gdyby! — szepnęła Różia.

— Daj Boże! daj Boże! ale już w nic nie wierzę — dołożyła matka.

Kilka jeszcze słów obojętnych przemówiwszy Maleparta, pożegnał wdowę. Różia oczyma odprowadziła go do drzwi, i dumna była odniesionem nad sobą zwycięstwem, zamiast wzdargy i odrazy, które jej dyktowało serce, okazawszy mu wdzięczny, przyjacielski uśmiech, co go przywiązać i złudzić musiał. Tak się spodziewała, a po części tak było. Maleparta nigdy tyle zająć się nie dał, aby uczuciom swemu rachubę poświęcił; ale jednak nie mniej czuł, że gdyby w dodatku do fortuny, otrzymał Różię, nie gniewałby się za to. Niechcąc dla niej nic poświęcić, rad był jednak wziąć ją, gdyby można bez trudności i ofiar.

Różia po wyjściu jego padła na łóżeczko, zakryła oczy rękoma i głęboko się zadumała. Trwało to chwilę tylko, bo wnet przypomniła sobie potrzebę udawania przed matką i porwała się wesóło; a pierwszego wzruszenia, matka licząc w tej chwili pieniądze, nie widziała.

— A cóż teraz o nim powiesz moje dziecko?

Pierwsze w życiu kłamstwo wyrwało się z ust Rózi.

— O! teraz bardzo mi się podobał, bardzo.

— Doprawdy? — spytała matka niedowierzając.

— Doprawdy, pierwszy raz go widząc tak byłam zależniona, tak nieśmiało mu się przyglądałam! Prawdziwie, tyłeśmy mu winni, że mi się aniołem powinien wydać.

— A widzisz moje dziecko, a widzisz, grożąc na nosie pogderała matka — nie sądź nigdy z pierwszego wejrzenia o człowieku, nie pluj przedwcześnie w wodę. Ja byłam pewna, że ty zdanie o nim odmienisz.

Różia odwróciła się dla ukrycia pomieszania i zamawiając dodała:

— Prawda, prawda, aż mi wstyd matuniu, to taki pocziwy, taki zacny człowiek. Ale czegoś dziś był smutny i nie swój?

Różia tylko co nie powiedziała — zły i ponury.

— Musi mieć zmartwienia! Bóg to wie co każdy cierpi, bo każdy ma swego móla, moje dziecko, i nie na rozkosześmy się porodzili, nie na gody!

Dziewczyna westchnęła.

— A do tego — mówiła matka dalej — taki pocziwy człowiek więcej cierpi od różnych, bo za siebie i za drugih.

Wypadło matce pójść na miasto zaraz, bo pilne były sprawunki dla ukochanego dziecięcia, a nowy zasilek zrodził nowe potrzeby. Okrywszy się chustką, wzięwszy pod nią kosz swój, wyszła pani Mrozicka, zostawując Rózię samą jedną jak zwykle i przykazując jej, aby się ze środka zaryglowała, a nikogo do jej powrotu do siebie nie wpuszczała. Podczas agitującego się trybunału w Lublinie tyle jest w mieście i tak rozmaitej hałastury, tyle młodzieży próżniackiej, że samej jednej, pięknej dziewczynie, pod te czasy burzliwe, niebezpiecznie pozostać bez ochrony. Są co wypatrzą najgłębiej ukrytą twarzyczkę białą, są co się nieulekną wyłamania drzwi, aby się do niej dostać.

Musiłeś waść słyszeć, dodał Prozorowicz, że nie jeden raz gładkimi twarzyczkami ujmują sobie aktorowie młodszych deputatów, szukając ich i łapiąc gdzie się trafi, kupując za co kupić można *). Niepokojność matki o córkę nie była wcale bezprzyczynną i próżną bojaźliwością. Codziennie się niemal trafiały porwania gwałtowne białych głów. Szczęściem Rózi nikt nie widział prawie, gdyż mało wychodziła, a okienko, którem wyglądać zwykła, patrzyło nie na ulicę, ale w podwórza i przejścia po za donami.

Jednakże nie można rzec, aby jej już niczyje nie napatrzyło oko. Rózia uważała wielokroć przystojnego, hożej postawy, pięknie strojnego młodzieńca, po ubiorze miarkując dostatniego wcale, przechadzającego się często, na pozór bez przyczyny, niedaleko jej okna. Zdawał

*) Satyr na twarz Rzptej 1640. Pamiętniki Kitowicza i Doświadczyński Krasickiego dowodzą, żeśmy nic w opisanu trybunału i ekscesów otaczających go, nie przesadzali.

sie on wybierać czas, kiedy matki w domu nie było. Naśwczas przechodził kamienicę i krok jego słyszała zawsze dziewczyna, a potem powoli spuszczał sie oglądając, ociągając, w drożynę schodzącą ku Żydowszczyźnie, drożynę śmieciastą, wąską, brudną, ledwie żydom i rzemieślnikom znaną i przez nich tylko uczęszczaną. Co na niej ten młodzieniec tak często robił? czyli tedy mu wypadła droga i dokąd ona wieść go mogła? Nie wiedziała Różia, ani się domyslała. Nie przyszło jej jednak dotąd do głowy, aby dla niej tedy przechodził. Nie wiem jakie tam przeczucie ostrzegalo ją, kiedy miał przychodzić, poznawała go po chodzie i po kaszluwaniu w korytarzu, wiedziała godzinę, w której miał wracać tedy. Ta godzina jednak nie codziennie była jedna, a najczęściej dziwnie przypadała na wyjście z domu pani Mrozickiej, lub chwilę jej spoczynku we dnie.

I niewinną wreszcie Rózie zastanawiać poczęły te częste przechadzki, gdy w nich młodzieniec coraz powolniej mijając jej okienko, codziennie ognistszym strzelał na nią wzrokiem. Niewinna jak gołąb Różia, nie widziała w tem nic złego, że lubila patrzeć na niego, że się rumieniała pod jego wzrokiem, że serce jej biło gdy go ujrzała, że biło serce gdy w swojej porze nie przybył.

Nie pojmując, aby w tem był cień nieprzyzwoitości, a czując jakąś przyjemność w spotykaniu oczów nieznanego, pełna prostoty, biegła patrzeć w okienko i nie odeszła od niego, aż straciła z oczu przechodnia.

Wielka niewinność, pewna siebie, bez wiedzy niebezpieczeństwa, bez poznania złego, podobna jest często mimowolnie wielkiemu zepsuciu, i gdyby nie dziewczęcy wyraz w półdziecinnej jeszcze twarzy, któżby Rózi biegącej żwawo do okienka nie wziął za zalotnice?

Bo kto wio jeszcze, jak sie stroila na te spotkania, jak upinała włosy, jakie czeptała kwiatki, jak się uczyła przed zwierciadłem uśmiechać?

Młody przechodzień w początkach mijał okienko

tylko wejrzeniem nieśmiało je witając; potem widząc że mu radzi, począł się zastanawiać w drodze, pod różnemi pretekstami; potem dozwolił sobie uśmiechu, na któren mu odpowiedziano uśmiechem; nareszcie witał już Rózię zdjęciem czapki, jak dobrą znajomą. Nie potrzebuje dodawać, że Różia w swej prostocie, najpiękniej jak umiała, uklon mu oddawała. Jej się to zdało niezmiernie naturalnem i koniecznem. Cóż to? prosta tylko grzeczność i nic więcej.

Z twarzy wielce jej się nieznajomy podobał, bo był urodziwy co się zowie mężczyzna i miał coś pocziwego w oczach, co to każdego za serce chwyta; jakieś zapewnienie czystej duszy, prawego serca.

Otóż, gdy matka wyszła, Różia tak się zadumała siedząc na łóżeczku, o tym nieszczęsnym Maleparcie, na którego widok drżała mimowolnie, że nie słyszała stapania w korytarzu i kaszlnienia pod oknem. Dopiero po chwilce otrząsając włosy, co się jej do koła twarzy rozplotły, poszła wolnym krokiem ku oknu. Spojrzała w nie bez myśli smutnie i uradowała się widząc niedaleko stojącego młodzieńca, który poglądał ku niej, znać już widzieć anielskiej niespodziewając się twarzy.

Na widok jej zdjął czapkę piórem strojną z głowy i skłonił się, wedle zwyczaju. Dziewczyna oddała mu uklon, ale nie jak zwykle z swobodnym uśmiechem — ze smutnem tylko potrząśnięciem głowy. On zdawał się wahać, jakby chciał coś powiedzieć, oglądał się do koła, wrócił ku oknu, potem niby coś postrzegłszy, schylił się ku ziemi, udając że coś podniósł i szybko biegł drożyną, tak że wkrótce pióro jego tylko powiewało z zapagórka i nareszcie znikło. Różia patrzała długo napróżno — potem odeszła.

— Czemuż to nie on, rzekła w sobie, naszym zbawcą, czemuż nie on! A! tak by mi to łatwo przyszła ta ofiara!

I zadumała się dziewczyna smutniej niż kiedy. W tem zapukał ktoś do drzwi.

Gdy to mówił Prozorowicz, i do drzwi izdebki,

w której siedzieli z palestrantem, zapukał ktoś także.
— Był to gospodarz.

— A co Matja?

— A co? nic. To tylko raz, że już późno — rzekł gospodarz kłaniając się — powtóre — dodał z westchnieniem — że się stało nieszczęście u mnie.

— Jakie?

— Dwóch, skarz ich Boże, pijaniców, powadzili się i potłukli, tak że jeden drugiego w pół śmierci przybił. Zbójca uciekł, nadejdzie zaraz pan instygator z rontem i pewnie wszystkich co tu są zabierze do turmy, póki indagacja o występki nie okaże kto winien. A zatem —

— Trzeba uciekać — zawołał palestrant.

— Ej! to nic — mruknął Prozorowicz.

— Aby mi tylko szynkowni nie zamknęli, rzekł Matja, a już przez to samo oniesławia. — I drapał się w głowę.

— A na kiedyż i gdzie koniec historii — zbiegając ze wschodów spytał palestrant.

— Dowiedźcie się jutro tutaj, jeśli chcecie.

— A wiele tam jeszcze do końca zostało?

— Mówilem wam że długa historia — odkaszlując rzekł Prozorowicz. — Jeszcze ją po części ten miód wyciąga.

— A nie możnaby tak opowiedzieć reszty sumaryjnie, niewielą słowy?

— Waćpan bo bardzo niecierpliwy i gorąco kapany — odparł eks-mecenas.

— Co się tycze gołych faktów, powiedziałbym w trzech słowach, ale tym sposobem człowieka z gruntu nie poznasz, i dowiesz się tylko tego, co już wiedzieć musisz zapewne. Wola wasza.

— A zatem do jutra.

— Jutro niedziela.

— Zejdziemy się wcześniej.

— Dobrze. I można będzie, jeśli nam czasu stanie, dokończyć opowiadania.

— Życzę dobrej nocy.

— Nawzajem.

I Prozorowicz pociągnął się, podśpiewując coś, ku żydowszczyźnie, na którą o tej porze nocnej nikt oprócz niego pójść by się nie odważył. Ogromny kij w ręku służył mu za obronę i podpórę w tej wędrówce, po nierównym bruku i błotnistych kałużach.

ROZDZIAŁ VI.

Nazajutrz, dzięki wybornemu miodowi, eks-mecenas znalazł się na stanowisku pierwszy, i z pociechą ujrzał, że Matja okupiwszy się jakoś, znów w otwartej gospodarował szynkowni; a co mu miało ubywać gości, to jeszcze się ich liczba ciekawemi powiększyła, dowiadującemi się o wczorajszym wypadku, którego rozmów wszystkich był przedmiotem.

— Cóż tedy dalej mecenasie?

— A na czem stanęliśmy?

— Różia wyglądała oknem za jakimś nieznajomym przechodniem.

— A ha. Idźmy tedy dalej.

W serduszkach dziewczyny kołatało jakieś nieznane uczucie, wół radosne, wół smutne. Każde wielkie szczęście człowieka tej jest natury, że się prezentuje przed nim ubrane jak pająk w różnobarwne płaty, połowa jego jasna, pół w cieniu.

W każdej rozkoszy ziemskiej jest coś smutku; ten tylko kto się zaparł świata, a oddał Bogu, nie zna podziału tego w uczuciach swoich.

Wróciła matka, a Różia jeszcze zadumana na łóżeczku siedziała, i dopiero dla niej wesołą twarzyczkę przybrała, jak dawniej dla nieznajomego w kwiaty, tak teraz dla matki w uśmiech się strojąc. Biedne dziecko, przez poczciwość klamać musiało! Pare dni znowu nie było Maleparty, ale ciągle o nim gadanie. Pani Mrozicka trzeciego dnia wybrała się z domu i spotkała go wo drzwiach kamienicy. Chciała się zawrócić, nie puścił jej i zatrzymał.

— Pozwólcie, rzekł, abysmy się tu rozmówili, choć miejsce nie po temu, ale przy córce nie zawsze mo-

zna wszystko mówić, a usmać jej nie ma gdzie.

— Cóż mi takiego powiedzieć macie?

— Przebrałem papiery, namysliłem się, poradziłem ludzi (a bajka, jako żywo, bo nie radził się nikogo, prócz siebie, i dawno wiedział co miał czynić). Przyszedłem z ultimatem do pani.

— Jakież ono jest, niech wiem? — spytała wdowa cała w strachu.

— Rzeczy wielce niepewne, Bóg wie, mówił dalej Maleparta, co z procesu wypadnie. Nabywać pretensyj nie mogę; ale tak, namyślcie się, czybyście mnie za zięcia nie przyjęli, a w takim razie zajmę się waszym interesem jak własnym i poprowadzę go swoim kosztem.

Pani Mrozicka radośnie wykrzyknęła:

— A! mój dobrodzieju, wielką mi czynicie łaskę i cześć waszą propozycją. Ale Rózieczka to takie jeszcze młode, takie płoche! — W naszej nędzy, ani nadziei wydzwignienia bez ciebie; ale gdyby mi z głodu umierać przyszło, woli jej gwałcić nie będę!

Maleparta się namarszczył.

— Spodziewam się jednak, pewna jestem, dodała wdowa, że Różia z ochotą, z wdzięcznością, na waszą propozycją przystanie. Dozwólcie mi tylko czasu, niech ją wybadam, wyrozumiem. Bywajcie u nas częściej.

— Moja pani — odrzekł dumnie Maleparta, ale ile możliwości mitygując zły humor, bo się spodziewał że go od razu za oświadczenie w rece ncaują. — Ja starać się i cholewek smaścić czasu nie mam. Chcecie, dobrze, a nie chcecie, drugo dobrze. Rozmyślcie się tylko. A wacpani wręcz córce powiedz, że to dla waszego podzwignienia potrzebne. Juścić jakkolwiek młoda, porozumie o co chodzi i jakiej to wagi.

— A! bądźcie pewni, że jej wszystko co będzie umiała i mogła powiem, że spokojną jestem o nią; bo bym jej w ogień wskoczyć kazała, i to by dla mnie zrobiła. Ale nie chce jej zmuszać, potrzebuje wyrozumieć.

— No! no, dobrze, jak tam sobie chcecie, odparł Maleparta — a na kiedyż odpowiedź? bo ja jej potrzebuje koniecznie rychło. Dodaję dla waszej wiadomości,

że jeśli chcecie popytać ludzi, dowiedcie się o mnie wiele złego.

— O was! miły Boże! zakrzyknęła wdowa, a któżby to śmiał?

Maleparta się uśmiechnął.

— O, są ludzie, co przez zazdrość lichu wie co plotą! Jestem tu najwziętszym w Lublinie mecenasem, nieprzyjaciół też mam wielu i gorliwych. Ale ci sami wam powiedzą, że człowiek majątny, że dobry szlachcic i nie utracysz, nie hulaka, nie kostera, nie rozpustnik żaden. To wam mówię, pewien będąc, że nikt temu zaprzeczyć nie potrafi; a trzeba abyście przecie wiedzieli za kogo córkę dacie.

— Zmiłujcie się; potem coście dla nas uczynili — dodała wdowa składając ręce — moglibyśmy uwierzyć złym językom i wątpić o waszem sercu?

Maleparta odwrócił się nagle żywo i pożegnał panią Mrozickę.

— Bądźcie zdrowi? A kiedy odpowiedź?

— Nie wiem, dni kilka — szepnęła wdowa. — Bądźcie łaskawi się dowiedzieć. A nie moglibyście jeszcze nam dopomódz — wyszepnęła po cichu.

— Nie mam z sobą pieniędzy — rzekł Maleparta odchodząc. — Niechaj trochę pocierpią — dodał w duchu.

Pani Mrozicka już nie poszła na miasto, ale cała pomięszana wróciła do swojej izdebki, nie wiedząc czy zaraz córce powiedzieć wszystko, czy ją wyrozumieć, i w razie gdyby wstręt czuła ku temu związkowi, zerwać go nic o tem nie mówiąc, aby próżnego żalu Rózi nie miała i zgryzot po niewczasie, lub z miłości ku matce gwałtn sobie nie uczyniła.

Szczęściem lub nieszczęściem dla Rózi, rozmowa ta odbyła się dość głośno w fórcie kamienicy i doszła uszu ciekawie podsłuchującej dziewczyny. Biedna, pomimo cierpienia, gdy postyszała chód matki, gdy ją ujrzała wchodzącą, pokryła w sobie smutną wiadomość i powitała ją tylko:

— Już z powrotem?

— Już, moje dziecko, rozmyślałam się i nie pójdę na miasto.

— A! to dobrze, chwala Bogu, bo po co też mama tak pracuje!

— Dopóki się Bogu nie podoba losu naszego odmienić, muszę — zawołała wdowa z westchnieniem.

I obie zamilkły, a Różia posłyszała chód znajomy w kurytarzu, odkaszliwanie, ujrzała nawet pióro przez okienko, ale nie miała siły pójść wyjrzeć i pokłonić się. Tylko westchnęła sobie i pomyślała:

— Czemu to nie on?

Matka z prawdziwie macierzyńską troskliwością ją wybadywać córkę zręcznie, powolnie, tak że choć Różia wiedziała o co chodzi, nie raz z początku rozmowy domyślić się nie mogła jej celu. Serce ją tylko ostrzegało biciem, i wówczas pomimo wstępu do tego człowieka, powiedziawszy sobie że się dla matczynej spokojności poświęci, udawała gotowość wyjścia choćby za niego, udawała że jej to wcale obojętnem, kogo dla niej matka wybierze.

Jeszcze jednak pani Mrozicka nie powiedziała Rózi wyraźnie, że się Maleparta oświadczył, tknęły ją ostatnie słowa, chciała się o nim u ludzi dopytać, coś więcej nad to co wiedziała dowiedzieć. W tym celu postanowiła odwiedzić swoje dawne a zapomniane znajome, z którymi dla nędzy, do której przyszła, musiała zerwać stosunki; a osobliwie panią regentową Przyjemską, niegdy wielką przyjaciółkę, rodem z Inflant i bodaj czy nie krewną nawet daleką.

Pani regentowa, żyjąca pod władzą męża i despotycznym jego rządem, nic sama przez się nie mogąc, ulegając sknerze i gderze, którego pokonać ani poprawić nie potrafiła w ciągu długiego pożycia, w niczem pomocną nie była Mrozickiej w jej smutnem położeniu. Ani tego od niej przyjaciółka wymagała, ani za złe jej miała pozornej obojętności; bo wiedziała, że regentowa w domu kluczyków nie nosi i niczem nie władnie. Pani Przyjemska została jednak zawsze przyjaciółką naszej wdowy, choć z oczów ją straciła, bo ta

swojej nędzy pokazywać znajomym co ją w lepszym bycie pamiętali, nie chciała. Na nią najwięcej rachowała Mrozicka. I nie bez przyczyny. Nieszczęśliwa w pozycyi ze srogiego charakteru mężem, sknerą i gderą jakem powiedział, pani regentowa pocieszała się, zbierając z ludzi wzorki i wiadomości miejskie. Nikt od niej wprzód i lepiej nie mógł wiedzieć, co się gdzie, z kim, kiedy stało. Wielkich i mniejszych familij znała doskonale parautelle, kolligacje, stosunki, procesa, interesa, wiedziała przyjaźnie i zająścia, procedencją osób, wypadki ich życia, charaktery. I nie w chęci szkodenia wcale badała tak, dowiadywała się, a potem rozповідаła słyszane. Najlepiej w świecie miała serce; ale bezdzietna, nie młoda, skazana na domowe mudy, szukała w tem zajeciu, dystrakcji jakiejś. Z całego miasta, ba z całego niemal kraju plotki, schodziły się do jej domu, w różnych, jak to zwykle postaciach, strojne w dodatki, powykrzywiano, odmienione do niepoznania. Pani Przyjemska konfrontując rozmaite wersje, dochodziła częstokroć do zbadania istniej prawdy, i naówczas jeśli komu co ujęła obmowa, gorliwie pracowała, aby ukrzywdzonemu powrócić, co się mu słusznie należało. Do tej to pani regentowej postanowiła wreszcie udać się wdowa nasza po radę i wiadomość o Maleparcie; a lepiej nie mogła trafić, bo mąż pani Przyjemskiej, zazdrośny jak każdy skąpiec fortuny, którą wedle jego domysłów robił niechybnie świeżo przybyły mecenasz, zbierał o nim co gdzie potkał, fałsz i prawdę, tak że co tylko wiedzieć było można o Maleparcie, pewnie w domu wiedziano. Nawet już pono kilkakrotnie odwiedziny u Mrozickiej nie uszły baczości ludzkiej i języków. Jedni powiadali, że on poluje na fortune, drudzy że się stara o córkę, a nie wiele wiedząc, a wiele po charakterze znanym Maleparty wnosząc, wymyślano dziwy.

Gdy po długiem zasiedzeniu w domu, usnuwieniu się od ludzi, przyszło wdowie wybrać się w odwiedziny, długo się na nie zbierała i zbroiła w siłę. Znano ją w lepszym bycie, przykre było ukazać się teraz ubogą,

i gdyby nie przyszłość kochanej Rózi tego wymagała, nigdyby pani Mrozicka na ten krok nie miała odwagi. Widząc przebieającą się w ostatki najlepszych sukien matkę, dziewczę ciekawie pytać ją zaczęło, dokąd się wybiera?

— Do znajomych — odpowiedziała krótko niespokojna matka. Strach ją po wyjściu przejmował, bała się czego złego dowiedzieć a musiała iść na zwiady. Nakoniec uściskawszy córkę, która nie śmiejąc już pytać więcej, niespokojnem za matką powiodła tylko okiem, wyszła biedna z bijącym sercem. Rózia została sama, przerażona wyjściem matki, przeczuwająca jakiś wypadek, usiadła na łóżeczku i płakała. Ona gotowa już była przyjąć Malepartę za męża, aby matkę wyswobodzić, ale się jeszcze z myślą tej ofiary zupełnie pogodzić nie mogła. I ilekroć dumiała, jak pójdzie przed ołtarz, stawał jej przed oczyma — piękny nieznajomy.

Tymczasem pani Mrozicka, powolnym krokiem, z bijącym sercem szła do regentowej Przyjemskiej, której mieszkanie pamiętała na szczęście. Już zbliżywszy się do domu, chciała się zawrócić, tak jej meztwa zabrakło, ale przemogła wstyd i westchnawszy tylko, spojrzawszy po sobie otwarła drzwi.

— Jest pani w domu? — spytała.

— Jest. — I odarty służka pokazał na drzwi dolnego mieszkania, w którym po staremu siadywała regentowa. W dwóch komnatach przyciasnych i dość ciemnych, sklepiionych jak wszystkie prawie stare kamienice naszych miast, mieścili się państwo regentówstwo, resztę domu w czasie trybunału wynajmując magistratowi na kwaterę deputacką. W tych dwóch komnatach całe było gospodarstwo bezżennego stadła; uagromadzone sprzęty z całego domu, zajmowały pierwszą izbę; w drugiej wielka kotara małżonków, stolik pana regenta zielony, piec kaflowy i zedłów kilka, składały sprzęt cały. Regentowa siedziała w oknie od ulicy i wchodzącej Mrozickiej nie poznała z początku.

Patrzała, patrzała, aż wreszcie porwawszy się

drict
nyp

z siedzenia, z otwartemi rękoma pobiegła do niej i zawołała:

— Na rany Chrystusa Pana! to moja kochana Helena! Jakże mi się masz? Jak mi się masz? Co się z tobą dzieje, żeś tak o mnie zapomniała i nie chciała widywać się ze mną? Jak ci się powodzi? Co porabiasz? Siadajże, siadaj.

Na wszystkie te pytania ledwie kilką nieznaczącemi słowy, z pierwszego pomieszczenia ochłonawszy, odpowiedzieć mogła wdowa, a pani Przyjemska mówiła ciągle dalej, zarzucając ją ciekawem badaniem.

— A córka? a Rózieczka? wyrosła zapewne, śliczna być musi? Jakże wam się powodzi? Gdzie mieszkacie? Słyszę że zawsze w Lublinie, ale gdzieś na drugim końcu miasta. Powiedzże mi proszę, jak tam, co tam, wszystko, wszystko mi powiedz.

— Jak nam się powodzi, mówić ci nie będę — słabym głosem odpowiedziała Mrozicka — bo nie mam się wcale z czem pochwalić; oddawna już w ostatniej nędzy i gdyby nie pomoc poczciwego jednego człowieka, już nie wiem, czybyśmy z głodu nie poumieraly. Ja, Bóg widzi, ani się skarzę, ani pragnę życia; ale Rózia, Rózia moja! ją porzucić tak samą jedną na łasce ludzi bez serca! Dla niej lękałam się nędzy i swojej śmierci! Com przecierpiała, ilem zniosła, nie powiem ci — nie potrafię opisać! Bóg to jeden wie! doszliśmy do najostateczniejszego niedostatku, musieliśmy się prawie ze wszystkiego wyprzedać.

Rejentowa krzyknęła załamując ręce.

— Czemużeś się nie udała do mnie?

— Albożbyś mi mogła dopomódz?

— A juściż podzieliłabym się ostatnim chleba kawałkiem, choć i my nie mamy go do zbytku.

Mrozicka uściśnęła rękę przyjaciółki i mówiła dalej:

— Nadszedł nareszcie dzień, w którym dla dziecięcia musiałam się nauczyć żebrać.

— Jezu miły! żebrać! co mówisz! I nie udałaś się do krewnych?

— Nigdy mi na żaden list nie odpowiedzieli.

— Do przyjaciół!

— Któż wierzy w przyjaciół? Bóg dopiero ulitowawszy się, już nad przepaścią zesłał nam dobroczyńcę, zbawcę.

— Kogoż? jak? zkad? — spytała zaciekawiona Przyjemska, przysuwając się do przyjaciółki.

Pani Mrozička opisała jej pierwsze odwiedziny Maleparty, jego propozycję, ostateczne słowo, i wyznała że przyszła się coś o nim dowiedzieć.

Na wymówione nazwisko mecenasa Paprockiego, porwała się rejentowa i zawołała z największym podziwieniem:

— On! twój zbawca!

Potem rozsluchawszy się o propozycjach, o zabraniiu papierów, poczęła potrząsać głową i z niechęcią się wzdrygać. Nareszcie milcząc powstała i ozwała się:

— To bardzo dziwny wypadek.

— Zaklinam cię na wszystko, powiedz mi kto on jest, co za jeden, jakiego charakteru, sytuacji, majątku? Mogę mu sumiennie córkę moją powierzyć? Mogę to ukochane dziecko mu oddać?

Pani Przyjemska widocznie była pomieszana i nie chcąc mówić, jękała się, krztusiła, łkała rozpoczete wyrazy.

— Na Boga powiedz mi, co to za człowiek — zawołała wdowa. — Widzę po tobie że wiesz coś o nim czego mi powiedzieć nie chcesz. Mów wszystko, będziesz miała na sumieniu przyszłość Rózi, moją spokojność, mów, zaklinam cię, mów!!

Regentowa usiadła i jeszcze walczyła z sobą.

— Moja Helusiu, odezwala się powolnie — przykroby mi cię zmartwić, ale koniecznie prawdy po mnie wymagasz, powiedzieć ci ją muszę. Ten człowiek, którego ty nazywasz zbawcą, jest największy niegodziwiec i łotr.

Wdowa krzyknęła i zakryła twarz rękoma, w tej chwili wpadł do pokoju młody, piękny, słusznego wzrostu i wspaniałej postawy mężczyzna. Pytał on się o

regenta; gospodyni przyjęła go gęstemi ukłony i przesadną grzecznością.

— Nie ma go jaśnie wielmożny panie, odpowiedziała, ale jeżeli raczycie chwilkę się zatrzymać, spodziewam się że nadejdzie.

— Bardzo dobrze — rzekł przybyły i siadł oczekując, a ciekawem wejrzeniem mierząc wdowę, która się z boleścią swą nie kryła i siedziała jak przybita, nie zważając co się w kolo niej dzieje.

— Pani Mrozicka, jeśli się nie mylę — rzekł po chwili do regentowej.

— Tak jaśnie wielmożny panie; ale zkadże ją pan znasz?

— Widuję ją przechodzącą, bo niedaleko od niej mieszkam, słyszałem o niej. — I zamilkł. Wdowa cichych tych słów kilku nie dosłyszała; cała była pogrążona w smutku. Regentowa widząc że napróżnoby do niej mówiła, zwróciła się ku przybyłemu.

— Jaśnie wielmożny pan wiesz jej historję?

— Potrosze.

— I pochodzenie?

Przybyły kiwnął głową,

— I teraźniejsze położenie?

— Słyszałem coś o niem.

— I zamiary mecenasa Paprockiego?

— Małoparty? — spytał nieznajomy.

— Tak jest.

— Jakież?

— Targuje, szepnęła regentowa z żywością, razem córkę i nabycie pretensyj, które pani Mrozicka ma do familji i do dziedziców majątku, który jej mąż dzierżawił.

— Córkę! — zawołał nieznajomy z widocznem podziwieniem i niespokojnością. — Córkę, powiadasz pani?

— Tak jest, i właśnie przyszła tu dowiedzieć się co o tym człowieku odemnie, bo go dotąd miała za anioła wybawiciela.

— Alboż była w takim położeniu?

— W ostatniej nedzy; teraz jest już w rękę Maleparty i nie ujdzie ich. Zabrał wszystkie ich papiery, dał coś pieniędzy i —

— Potrzeba jej było powiedzieć co to za człowiek.

— Ledwie zaczęła, gdyś jaśnie wielmożny deputat nadszedł, czyniąc nam cześć wstępując w te progi. Nie miałam czasu objaśnić jej zupełnie.

Przez cały czas rozmowy pani Mrozicka siedziała jak obłąkana, z rekoma spuszczone, oczyma nieruchomie wlepionymi w ścianę i głową podniesioną. Potem jakby do przytomności przyszła, opamietala się, chwyciła za reke przyjaciółkę, nie zważając na obcego człowieka i zawołała:

— Wytłómacz się, powiedz mi wszystko co wiesz, wszystko.

Regentowa zakłopotana była przytomnością jaśnie wielmożnego deputata i nie wiedziała co począć, poglądając to po nim, to po wdowie.

— Ale poczekajże moja Helusiu — szepnęła — zaraz, zaraz ci powiem.

— Ja równie dobrze jak pani mogę w tej mierze objaśnić — rzekł obcy podnosząc głos niespodziewanie.

— Chcesz wiedzieć co za człowiek jest mecenas Pa-procki, powiem pani, a co powiem, jeśli potrzeba będzie, dodał, w oczy powtórzę. Człowiek to bez czci i wiary, gdyby mu szatan od sprawy zapłacił, stanąłby w sprawie szatana; zwykle podejmuje się tylko procesów przez złego ducha natchnionych. Wyszedł z żebraka; pierwszym jego uczynkiem była niewdzięczność, po nim reszty nie policzy nikt, bo zgroza o tem mówić. Takim jest ten człowiek!

— Byćże to może? prawdaż to? — zakrzyczała wdowa łamiąc rece. — Nieszczęśliwa, cóż ja pocznę! Jestem mu dłużną i nie w stanie wypłacenia się; wszystkie papiery moje w jego rękę! Ten człowiek — i nie kończąc zakryła twarz rekoma.

— Strzeż go się pani — dodał nieznajomy. — Jeżeli podobna, wyrwij się z jego sideł, a przynajmniej nie daj się więcej wikać.

Wdowa ani się zastanowiła, że obcy niewiedzieć z kąd i jak o jej położeniu był uwiadomiony, dawał jej te rady; nie pomyślała spytać go o nic, nie zdziwiła się — tylko milcząca pozostała bez ruchu na zydłu.

W tej chwili przybyły porwał za czapkę z piórem leżącą podle niego i pożegnawszy skinieniem głowy regentową, coś jej szepnął i wyszedł.

Szybkim krokiem puścił się on ku ulicy Grodzkiej, pomimo wiosennego deszczu, który lał strumieniem. Jakby go nie czuł młody człowiek, zamyślony cały w sobie pędził przeskakując wezbrane rynsztoki i potrącając przechodniów. Nareszcie zwolnił kroku. doszedłszy do drzwi kamienicy, którą zajmowała pani Mrozicka, zawrócił się w kurytarzyk, odkasznął przechodząc nim, obejrzał się, zastanowił i zapukał do drzwi śmiało.

Głos z zewnątrz spytał:

— Kto tam?

— Przyjaciół, znajomy.

— Mojej matki nie ma w domu.

— Wiem o tem — ozwał się przez drzwi przychodzień, przychodzę ztamtąd, gdzie ona jest, od niej.

Ledwie tych słów domówił, odemknęły się drzwiczki i Różia z podpuchłemi od płaczu oczyma, z rozpuszczonemi włosy, pokazała się przed nim.

— Moja matka? Co się stało mojej matce? Na widok znajomego młodzieńca cofnęła się, zamilkła, zapłonila i nie wiedziała co mówić więcej.

— Matka mnie nie przysłała, sam przyszedłem, dwa słowa powiem ci tylko. Ten człowiek, którego nazwyczaj zbawcą, jest najgorszym z ludzi, zastawił na was sidła. Nie poddawaj się i nie idź za niego, bo całym życiem nie opłacisz twojego nieszczęścia. Jeżeli potrzebujecie pomocy, chcecie ją przyjąć odemnie. Na Boga wyrwijcie się z jego szpon! Ty nie poddawaj się namowom, naleganiom, prośbom i groźbom, i miej nadzieję we mnie. Jutro o tej porze przyjdę tu, spodziewam się was z tej toni wydźwignąć. Bądź spokojna... — To powiedziawszy zniknął, piękniemi swemi oczyma pozdrowiwszy Różię, która z podziwienia i

strachu języka w ustach zapomniała.

Jeszcze drzwi nie były zamknięte za nim i dziewczę nie ochłonęło z wrażenia jakie na niej szybka a pełna znaczenia mowa pięknego nieznanego uczyniła, gdy przed nią niewiedzieć jak i z kąd zjawił się Maleparta.

Chytrem spojrzeniem zmierzył naprzód struchlałą bardziej jeszcze na widok jego dziewczynę, potem swoim niby pieszczonym, łagodnym a chrypliwym głosem przemówił, zamykając drzwi za sobą, jakby się dziwił:

— Nie ma matki? sama jedna i nie boisz się waćpanna?

— Tylko co... właśnie — przebaknęła dziewczyna — otwarłam je i miałam zamknąć, gdy —

— Gdy ja niespodzianie nadszedłem. To powiedziałwszy, obejrzał się, wyszukał miejsca, usiadł i skierowawszy oczki na Rózię, odezwał się, zawsze starając się głos swój jak najśłodszy uczynić.

— Doprawdy! ten stan wasz bardzo mnie obchodzi! Radbym co na to poradził i dałem mojej dobrej chęci dowody. Matka waćpanny wie już o moich zamiarach. Mógłbym się podjąć, postawić ją w tak świetnym stanie w jakim nigdy nie była — ale na to — na to —

— Cóż na to potrzeba? spytała Rózia oczarowana już temi kilką słowy, pomimo bojaźni i wstrętu, jaki ku niemu miała.

— Potrzeba na to zezwolenia waćpanny. Dobrze się stało, mówił dalej, że ja tu samą zastałem. Matka nie powie jej wszystkiego tak otwarcie jak ja. Waćpanna możesz uczynić szczęście matki, jednem swem słowem możesz jej zapewnić spokojność na starość, tak dla niej potrzebną.

— Wierście mi — z zapalem (jak zawsze gdy szło o matkę) wołając Rózia, wszystko uczynię dla jej szczęścia, życie dałabym za nią!

W oczach Maleparty pojaśniało.

— Ale kto mnie zapewni, że moja ofiara uczyni ją szczęśliwą? — dodała.

— Ja waćpannie za to ręczę, przysięgam, jeśli potrzeba!

— Przysiędziesz? — spytała dziewczyna rozplamioną tą myślą.

— Przysięgnę, rzekł zimno mecenas. — I pozwólcie sobie powiedzieć, dodał, że na moje słowo i przysięgę więcej ufać można, niż na jakie tam młodzików obietnice. Może ktoś dla pięknych oczów waćpanny pociągnąć się na mało znaczącą pomoc dla jej matki, na zasilek chwilowy — ale jutro porzuci, zapomni i znowu wrócić do smutniejszego jeszcze położenia.

Rózi mimowolnie przyszedł na myśl nieznaomy i spuściła oczy na ziemię.

— Oświadczyłem to matce waćpanny, biorę ją za żonę, matka będzie mieszkać przy nas, otoczym ją najtroskliwszem staraniem, odzyszczemy jej majątek. Będzie błogosławić córkę.

Potem zerwał się z siedzenia i szybko dodał, jakby straciwszy cierpliwość:

— Jakże? decydujesz się waćpanna?

— Ja sama nie wiem, ja sama nie mogę — wyjąknęła dziewczyna.

— Albo nędza długa, straszna i codziennie okropniejsza, bo bez nadziei ratunku; albo spokojność, dostatek, swoboda. Ja wiem — dodał — że na mnie zażdrośni, zastraszają was, dziwy powiadać będą, że może matka waćpanny się zachwieje i nie będzie śmiała cię namawiać, nawet ci powiedzieć o tem, ja to wszystko przewiduję, pojmuję i uprzedzam: powiedzą wam że mój zły człowiek; ale masz to przeszkadzać córce do poświęcenia się za matkę? Gdybym był tak złym ograbiłbym was, bo mogę to uczynić bezkarnie, mając wszystkie wasze papiery w rękę, rozumiesz waćpanna — i porzucić na bruku; a jednak chcę was z tej doli wydzwignąć i podaję rękę. Rozmyśl się waćpanna i odwiedzaj matkę jej przywiązanie dla ciebie.

Małoparta czekał odpowiedzi, Różia słuchała go z uwagą, gdy wspominał o zabranych papierach dreszcz ją przeszedł i w chwili wykrzyknęła:

— Masz pan moje słowo — ale — jeżeli moja matka pożałuje tego, jeżeli ona nie będzie spokojną i szczę-

śliwą — ja — jakem się umiała poświęcić, tak się potrafię pomścić. — Maleparta uśmiechnął się szydersko, poklonił w milczeniu i wyszedł.

Różia upadła na łóżeczko i płakała, a głowa jej pałała ogniami niesłychanemi, szumiało w niej, przewracało się, łamało, i zdawało się jakby jakiś sen ciężki, niepodobny do rzeczywistości, po niej przeleciał. Nie słyszała jak matka zapukała do drzwi i weszła.

Wdowa była także w tym stanie obłąkania, osłupienia, że nie postrzegła zmiany na twarzy córki; a Różia prędko się opamiętała, otarła łzy, i prawie wesoła przyszła ją przywitać.

— Matka nścisnęła ją czulej niż kiedy i załzała się łzami.

— Ty płaczesz, co ci to matko?

— Nic, nic, moje dziecko, twoja to dola i przyszłość łzy mi wyciska. Myśle o niej co dzień, co godzina, co chwila; napróżno Boga proszę.

— O! nie troszcz się matko. Bóg dobry, a mnie tak nie wiele potrzeba. Na cóż mi więcej nad to, co mamy, byleś ty była spokojna, zdrowa i weselsza.

Matka pocałowała ją w czoło.

— To okropnie! to okropnie — zawołała — zdaje się że mniej cierpiałam w najsroźszym mojem nieszczęściu. Teraz gdy się uśmiechnęła i zgasła nadzieja.

— Jaka nadzieja?

— Wdowa milczała, sparła się na rękę, dumiała.

— Słuchaj matko — odezwiała się Różia klękając przed nią. — Nie taj się przedemną, ja wiem wszystko: wiem o propozycjach tego człowieka, wiem o jego obietnicach. Ja go serdecznie pokochałam, tego dobrego anioła naszego, ja się zgadzam na wszystko. Z radością mu się oddam: będziemy spokojni, szczęśliwi. Ty spoczniesz i przestaniesz płakać.

— Zkąd ty to wiesz? — zapytała podnosząc się matka. — Zkąd — powiedz mi?

— On sam mi o wszystkim powiedział.

— On tu był? — I matka się wzdrygnęła.

— Był matuniu, i tak pocziwie, serdecznie mówił o tobie! Wierz mi, on dobry, a choć ludzie...

— O! ludzie! ludzie!

— Ludzie pewnie źle o nim mówią.

— Nie śmiem powtórzyć, dziecko moje.

— Nie wierz temu matko, nie wierz, ja czuję że to fałsze, ou pocziwy, on skończy nasze ciężkie, opłakane lata sieroctwa.

— Nie! nie! — zawolała wdowa — ja tego nie chce; lepiej nędza, lepiej śmierć, niż ciebie mój aniele oddać w szpony nieznajomego człowieka, Bóg wie komu, na jaki los, na jakie życie! Ukochane dziecko moje! Nigdy! nigdy! nie chcę! nie chcę!

— I wolisz matko cierpieć tak, resztę życia w tych cierpieniach wyszałować i zostawić twoje dziecko same jedne na biednym świecie, sierotę.

— Ale ja nie mogę umrzeć! z zapalem wykrzyknęła matka, uie potrafiłabym umrzeć i porzucić tak ciebie. Ty nie wiesz co to serce matki!

I Różia padła jej do nóg, i ścisnęły się i płakały.

— A ty matuniu, nie znasz co serce córki. Ja bym była tak szczęśliwą, gdybyś ty była spokojna, gdybyś odetchnęła, gdybyś przestała dniem i nocą męczyć się tą nieznośną przyszłością. Mój Boże, nam tak mało potrzeba! Pozwól matuniu, pozwól, ja pójdę za niego i wszystko się skończy jak sen męczący. Już i mnie to życie cięży kamieniem, już i ja po nużących tych latach wypocząć pragnę. Skończmy to! Bóg nam zsyła pomoc, radę, czemuż ją odpychać?

— A! ty nic nie wiesz Róziu.

— Matko! pojmuje wszystko złe jakim ludzie spotwarzyć mogą. Ale wszystkoż świętą jest prawdą, co z ich ust wychodzi?

— Cicho! cicho! rzekła wdowa — cicho dziecko! Ty złego ani pojmiesz, ani mu wierzyć możesz! Nie myśl nawet o tym człowieku — spuśmy się na Boga.

— Ale ja tego chcę, ja żądam, ja pragnę matko, dać mu siebie za spokojność twoją i moją. Ja cię pro-

sze o pozwolenie i błogosławieństwo twoje — ja sama.

Wdowa zastanowiła się — cofnęła.

— Róziu! Róziu! na Boga przestań, serce mi zakrwawiasz! Nie mów więcej, nie wspominaj mi o nim. Wszystko przepadło! wszystko! Zapomnijmy o tem.

Drzwi niezaryglowane otwarły się — i na te słowa wszedł Maleparta. Na widok jego wdowa krzyknęła, Różia cofnęła się w głąb izdebki. On z zimną, surową i prawie uragającą miną postąpił na środek ku pani Mrozickiej.

— Przyszedłem, rzekł, po ostatnie słowo. Dałem pani czas do namysłu i do rozpytania się u ludzi. Wiem co pani słyszeć musiałaś od nich o mnie, mało to przywykłego do ukąszeń ludzkich języków obchodzi. Ostatnie więc słowo: co mi powiesz pani?

Różia poskoczyła przed matkę i nim się ona zebrała na odpowiedź, zawołała:

— Matka moja przyjmuje, ja przyjmuję. Zdajemy się na ciebie. Bóg cię ukarze, jeżeli nas zawiedziesz! Oto moja ręka! Ale matka poskoczyła i zasłaniając córkę schwyła jej rękę.

— Nie chcę, nie chcę! zakrzyzczała, nie nie chcę! zostaw nas w naszej nędzy i uwolń od dobrodziejstw. Nie chce! nie chcę!

— Komuż mam wierzyć? — spytał Maleparta z półuśmiechem obojętnym.

— Mnie! krzyknęła Różia.

— Mnie! mnie! — przerwała matka. — To dziecko, ona nie wie co mówi. Odstąp pan i zostaw nas w pokoju! Nie chcemy twoich obietnic, pieniędzy, łaski, niczego — zostaw mi córkę — Bóg nas wyrwie z tego nieszczęścia!

— Jakoż i wiele wam dotąd pomógł — szepnął Maleparta z szatańskim śmiechem. Mam litość, dodał, nad waćpanią, proszę jej, rozmyśl się nad tem co czynisz i czy sumiennie to dla ludzkiego języka odrzucać szczęście jedynego dziecięcia. Wieszże waćpani, co o niej mówią, co mówiono o ś. p. jej mężu?

— Na Boga! nie kalaj go swoim językiem.

Maleparta zamilkł uśmiechając się!

— Mościa panno — rzekł do córki — od niej zależy przyszła spokojność i szczęście matki — mów — chcesz go?

— Dłam słowo, nie zmieniam go.

— Ja ci zakazuje pod błogosławieństwem! Milcz Róziu! Na Boga! nie gub siebie i mnie.

Ogień błysnął w oczach Janka.

— A wiesz waćpani — rzekł chwytając wdowę za rękę — co to za przyszłość gotujesz sobie i córce, odpychając mnie od siebie? Wiesz, pojmujesz to? Posłuchaj więc: Jesteś mi dłużną i nie masz mi czem zapłacić — papiery wszystkie w mojem reku, kim jesteś nie masz dowodów, majątności swojej i dziecka nie dojdiesz nigdy — nikt śladów jej nie wyszuka prócz mnie, a ja cie będę prześladował, ja się pomszcze, a jeśli prawda, co mówią o mnie ludzie, zważ waćpani, co to moja zemsta!

Wdowa obląkanemi oczyma spojrzała na niego, zachwiała się na nogach i ledwie utrzymała oparłszy na córce. Rózia w tej chwili zawołała:

— Masz mnie! masz, sama ci się proszę, na kolanach jeśli potrzeba, zapomnij o wszystkim, jam twoja, niech matka będzie szczęśliwa. — Jam twoja, przysięgam!

— Taka przysięga — ozwał się Maleparta, dobra jest dla małych dzieci — innej mi potrzeba. Obrócił się do matki.

— Przekonałaś się więc waćpani że inaczej być nie może, że ona moją będzie i że z tem wam lepiej będzie? Zezwalasz?

Mrozička nie odpowiedziała, i aż po chwili rozplakawszy się na reku Rózi, ozwała się:

— Moje ukochane dziecko! O! co za przyszłość! Dzień się wola Boża!

— Zezwalasz waćpani

— Nie sprzeciwiam się — szepnęła.

Maleparta rzucił się ku drzwom, na chwile zniknął, ale wnet znów się ukazał wiodąc za sobą księdza Je-

zuite, czterech świadków i dwóch z palestry trybunalskiej z księgami i papierami.

Wszystko było przygotowane.

— Waćpani — rzekł do matki — zrzekasz się majętności swej na córkę. Waćpanna — odezwał się do Rózi — dajesz mi władzę poszukiwania swego wniosku. Proszę podpisać!

Tak nagle, tak dziwnie się jedno po drugim odbywało, że kobiety znużone i struchlałe, nie miały czasu namyślić się, cofnąć, zaprzeczyć — obydwie podpisały podane im akta.

— Waćpanowie — rzekł Maleparta do przytomnych dziwnej miny ludzi — jesteście świadkami, jako się tu nie gwałtem i przymusem nie dzieje, wszystko po dobrej woli i z rozmysłem.

A teraz kolej na ksiedza.

Jezuita przystąpił do zapytań i wstępnych formalności.

Przez cały ten czas matka upadłszy na siedzenie, gorzkiemi łzami płakała.

Rózia, siły biorąc z nadziei swej poprawienia losu matki i zabezpieczenia jej spokojności, stała mężnie odpowiadając na pytania i nie pejmując może ważności aktu, przystępowała do związania się na wieki z nienawistnym od pierwszego wejrzenia człowiekiem.

Jezuita rozpoczął modlitwy i spiesząc widocznie, błogosławił nowożeńcom, potem donośnym głosem odezwał się do świadków znown, przemówił kilka słów zimnych i wymuszonych do zaślubionych, zrzucił z siebie stule i wyszedł.

— A teraz, rzekł Maleparta, czas porzucić tę izdebkę. Konie i kolasa czekają u drzwi na was, ludzie przystąpią zabiorą rzeczy. jakie się tu znajdują. Chodźmy. — Rózia rzuciła okiem łzawem po izdebce co była świadkiem tylu chwil ciężkich jej życia i żegnała ją z boleścią. Wdowa chwyciła rekę córki i z nią razem milcząca powlokła się, nie wiedząc co czyni, i machinalnie tylko, goniąc za ukochanem dziecięciem.

ROZDZIAŁ VII.

— Jakie było pożycie nowego stadła, mówił dalej Prozorowicz, trudno jest opowiedzieć, chociaż o tem wiem z własnych ust żony i jej matki. Zaledwie przyjechali do domu Maleparty, człowiek ten i tak już nie-nawistny Rózi, zmienił się na jeszcze straszniejszego. Twarz, na której nie wymuszał pożyczanego łagodności wyrazu, co ją czynił tak dziwacznie fałszywą, przybrała minę posępną i niespokojną, usta wciśnięte głęboko, brwi nachmurzone, pomarszczone czoło, ruchy gwałtowne, mowa urywana i chrypliwa, zastąpiły miejsce kociego oblicza i pieszczonego głosu.

Gdy dojechali do domu, Maleparta przeprowadził żonę do pokoju na piętrze, do którego przechodzić było potrzeba drugim zajmowanym przez niego. — Nagie ściany, łóżko niezasłane, stolik niczem niepokryty, ławy proste, oto wszystko co w nim zastała.

Żadnego sprzecika, żadnej zbytkowej rzeczy. Obok alkierzyk niewielki, wilgotny i smutny, przytykający doń, wyznaczony był dla matki.

— To izba waćpani — rzekł Maleparta do żony — a to dla matki. Nie są one wykwiutne i strojne bogato, bo tego spodziewam się żona moja potrzebować nie może. Przywykłyście nędzy i nie idziecie z dostatków, a tu będziecie spokojne.

Wdowa spojrzała, załamała ręce i zwróciła wzrok bolesny na zięcia, jakby go pytać chciała:

— Toż to coś nam obiecał?

On to zrozumiał i sucho odpowiedział:

— Marnować nie mogę ciężko zapracowanego grosza, waćpani wnosisz mi w dom nie fortune jeszcze, ale proces i koszta, nie możesz wymagać więcej ode-

mnie. Szaflować na fatalaszki nie będę, bo żebrać potem nie chcę. A teraz, dodał, jeszcze słoweczko do waćpani.

Odwrócił się do wylekłej żony, która ciągle po nagich ścianach mieszkania poglądając, żałowała już swojej swobodnej izdebki.

— Żona moja powinna mi być pomocą, pociechą, nie zawadą i kłopotem. Taką chcę mieć i taką się po waćpani spodziewam. Ta izba należy do waćpani, reszta domu do mnie. Nic się tu nie dzieje bez mego rozkazu, i ja tylko rozkazuję. Dzień mój zajęty pracą, święgotania nad uszami i bieganiny próżnej nie zniosę: będziesz więc siedzieć u siebie i nie głużyć mnie żadnym hałasem. To moja izba, gdy w niej będę z kimkolwiek na rozmowie, nie wyjdiesz waćpani chyba zawołana. Nareszcie ostatnia jeszcze przestroga: jestem mściwy, popędliwy, zły, nie życzę mnie drażnić. Będę zazdrosny, bo to już czuję; nie próbuj mojej zazdrości. Wiem o owych z okienka ukłonach z pięknym nieznanym.

Różia pobladała — matka oczy wielkie zrobiła i posiniała z gniewu, poglądając na Malepartę. On spokojnie kończył:

— Niech się na tem znajomość i stosunki skończą. Przed moim okiem nic się nie ukryje, nawet to co potrafiło utaić się przed okiem matki. Życzę mnie nie drażnić, być cichą, posłuszną, pracowitą i oszczędniejszą na dal.

Spojrzał na matkę.

— Przyzwyczaiłaś ją waćpani do swej woli, do wymysłów, do strojenia się i próżnowania. Wybaczone to matce, co sama nie wie co czyni, gdy kocha dziecko swoje, ale mnie by nie było wybaczonem, gdybym na to dalek dozwalał i znosił. A teraz —

Przerwała mu wdowa, która wysłuchawszy wszystkiego, upadła zanosząc się od płaczn:

— Chodźmy! chodźmy ztąd! Róziu uciekajmy! Wyrzeczmy się wszystkiego! Chodź! chodź! — Porwała córkę i posunęła się ku drzwiom.

Maleparta z zimną krwią zaparł je sobą.

— To moja żona! odezwał się surowo, i mam do niej zupełne prawo, jak do mojej własności. Nie było musu i gwałtu, dobrowolnie poszła za mnie. — Wacpani zaś chceszli iść, otwarta droga, bodajbyś i nie wróciła nigdy! Spokojnie będzie bez ciebie.

Różia rzuciła się znowu ku matce.

— Na Boga! nie opuszczaj mnie lub idźmy razem.

— Tyś moja, i ty zostaniesz.

— Więc i ja z tobą! — odezwała się wdowa. — Bóg widzi, Bóg słyszy, Bóg go osądzi. Chodźmy i nie patrzmy na niego. — Jak oblakana rzuciła się Mrozicka ku komnacie córki; Maleparta nie poszedł za niemi. On dawał rozkazy sługom, którzy rzeczy znosili, potem puszczawszy drzwi na rygle, i starą kobietę posławszy do usług żonie i matce, sam na twarzym tarczanie w pierwszej izbie się położył.

Z początku tego łatwo wnieść o dalszem życiu nieszczęśliwej Rózi. Była to długa, gorzkimi łzami oblana męczarnia. Ciężka niewola, niedostatek, bojaźń, zastąpiły miejsce nędzy swobodnej, srogiej prawda, ale mniej może jeszcze ciężkiej do zniesienia. Dla żony Maleparta był surowym stróżem, srogim panem, ale nie mężem. Nigdy łagodniejszym słowem, usługą, pieszczotą nie popróbował nawet pozyskać jej serca.

Biedne dziewczę, klamiąc przed matką spokojność, drżało i słuchało; a co było cierpienia, kryło je na dnie duszy, aby podwójnie nie cierpiała niem matka. Jeszcze uielitościwy człowiek, gdy ukryła co przed wdową, jakby naumyślnie, aby ją udreczyć, wypowiadał w oczy pracowicie tajoną prawdę, licząc wszystkie łyzy wylane przez żonę i uśmiewając się z nich.

Jeżeli w niedostatku, Różia osładzając go dla matki, chciała co z swojej dawnych własności sprzedać, nie dozwalał na to.

— Ty moja, mówił, wszystko twoje jest mojem, do niczego nie masz prawa. Nie dam ci nic roztrwonić.

A gdy mino baczności jego, Różia sprzedawała sukienkę, i dodając wygod matce, pobożnie klamała, że

o nich Maleparta pomyślał, on już czatował na to, łapał żonę na fałszu i odkrywał prawdę szydersko. Zdawał się mieć przyjemność w udreczeniu, w naigrywaniu się. w szatańskim znęcaniu się nad ludźmi z którymi żył. — Patrzał na łzy, na gniew, oburzenie, męczarnie, jak na ciekawe, rozdrażniające widowisko. Płakał-li kto w domu, on pewnie przychodził jeżeli mógł oglądać na łzy i śmiać się z nich. Jątrzył boleść, wyszukując jej najdzikszych powodów, dając jej cele fałszywe, niewierząc w nią nigdy, choćby się krwawymi objawiła łzami.

Ilekróć wychodził z domu (a często oddalać się musiał). zostawiał żonę pod strażą starej kobiety, mumji bez czucia, bez myśli, spełniającej jego rozkazy machinalnie i niewolniczo. Odarty sługa pilnował drzwi i nikogo nie wpuszczał. Wdowa mogła wychodzić, ale się lękała na chwilę opuścić córki, która całe dnie płakała. lub razem z nią modliła się. Niestety tak gwałtownie spadłe na Rózię po pieśczętach macierzyńskich, choć osłodzone jeszcze niemi, głębokie uczyniło wrażenie. Z płochego dziecięcia stała się nagle kobietą, mężną, silną i rozumną. Pojawszy że próżną byłaby walka, nie tyrała w niej sił na próżno, zносиła wszystko mężnie, nie jątrząc złego człowieka, ale myślała, jak siebie i matkę wywieść z tej niewoli.

Jedyna nadzieja pozostała w tym człowieku, co kilka chwilami przed ślubem, tak niespodzianie ofiarował jej pomoc swoją. Ale tego człowieka matka i córka imienia nawet nie wiedziały. Wprawdzie często go Różia widywała z okna, przechodzącego z przeciwnej strony, po pod domostwy ulicą, on także ją postrzegł; ale nie było sposobu odezwania się do niego, a ona, gdyby mogła nawet, możeby się nie odważyła skarżyć na tego co się zwał jej mężem. Dla siebie nigdyby ona nie myślała nawet o tem, chciała uczynić dla matki, ale nie było sposobu. Nieznajomy o tej samej godzinie przechodził teraz mimo okien mecenasa, o której zwykle ukazywał się przed okienkiem Rózi. Rzadko jednak odważyła się ona spotkać jego wejście i nie

skinęła nawet głową, gdy oglądając ciekawie, mijał ten dom, tak szczelnie dla wszystkich zamknięty.

Z najprzykrzejszym położeniem wreszcie oswoić się można. Takim jest człowiek, że nigdy długo jednostajnie cierpieć nawet nie potrafi; w początkach zdaje mu się, że nie wytrzyma boleści, ale z dniami tępieje uczucie jej, i w nowym swym stanie znajduje, wyszukując ich, pociechy, ośłodę, nareszcie nadzieję.

Różia miała przy sobie matkę, i wspólność cierpień pocieszała te dwie biedne istoty. Ale wdowa od ostatniego wypadku, prócz miłości dla dziecięcia, resztę uczuć zdawało się że straciła. Nic ją nie obchodziło, niczem się nie martwiła, nawet mniej może pojmowała cierpienia Rózi. Modliła się dnie całe płacząc, mówiła mało, nie wychodziła oprócz do kościoła z córką; a wówczas towarzyszyła im nieodstępna stara owa sługa. Dnie całe, miesiące, płynęły w tych dwóch izdebkach, w zamknięciu, jedностajnie, blade, przerażające ciszą i niezmiennem swem obliczem posępnem. — Maleparta rzadko widywał żonę, rzadko do niej zachodził, nie pytał nigdy, czy potrzebowały czego i jak się miały. Zamknięte w komnacie, słyszały tylko głos jego przez pół dnia sucho, jednostajnie kłęczący o procesach, o summach, o prawniczych formułach, przerywany niekiedy szyderskim śmiechem, co to nie z serca idzie, ale na ustach się tylko rodzi i usta wykrzywia. Czasami żwawsza rozprawa dochodziła ich uszu, i znówu po niej cisza, a wśród ciszy tylko pół słowa lub szelpotanie piór chodzących po papierze, albo brzęk pieniędzy. Biedna Różia w tej atmosferze dusznej schła, wiedniała, schylała głowę, starzała niedojrzawszy. Matka zamierała powoli, tracąc czułość jak chory, któremu po wielkiej boleści odrętwienie ujmuje cierpienia. Coraz bardziej milcząca, coraz bardziej zapominająca swą przeszłość, wdowa patrzyła na wszystko osłupiałym okiem, zdając się mówić tym swoim stanem, że niedługo już cierpieć będzie.

Córka nigdy jej serca najmniejszym użaleniem się nie zakrwawiła, (chowając łzy dla siebie) a gdy czasem

postrzegła boleść dobitniej wyrytą na twarzy, pomimo starania aby ją pokryć, odzywała się potrzásając głową:

— Wszystko mija, moje dziecko. — I to minie i życie się skończy!!

Nie wiem czy w wielkich ciosach jest pewniejsza pociecha nad tę.

Pani Mrozička powoli, powoli kończyła nieszczęśliwe życie swoje. Włosy jej posiwiały naprzód, pobieły potem, ręce trząść się zaczęły, oczy zagasty, głowa się pochyliła, policzki wychudły. — Maleparta widział to wszystko, ale jakby nie postrzegł. Nigdy nie spytał o jej zdrowie i nawet na zimno nie potroszczył się o nie, choćby dla oka. Raz, gdy matka wracając z kościoła, przeszła przez izbę, w której on ze swoim pomocnikiem pracował, Rózia usłyszała z biciem serca następującą, toczącą się między niemi rozmowę, dla której nawet nie zniżyli głosu:

— Uważałeś — rzekł Maleparta do pomocnika — uważałeś jejmość?

— Hm? Albo co?

— Jak wygląda?

— Zdaje mi się źle.

— Bardzo źle; już jej widać niedaleki termin nieodzownego roku.

— Stara?

— Nie tak to stara, ale to jak koń co z dobrej stajni poszedł na chudy obrok, ujęło się pieszczot, wygódek.

— Nie staracie się wiele o nią.

— Czy waćpan oszalał? A to ja bym nie wystarczył na jeden rok, puściwszy babie cugle; a przy ekspensach tego procesu i kosztach utrzymania żony?

— Cóż waszmości żona kosztuje?

— Waćpan myślisz nie! A to co zje?

— Juściż!

— Chwała Bogu, wkrótce choć jedną gębę mniej będzie w domu, bo tak i założę się że stara długo nie pociągnie, a jak ona bryknie, to i z żoną inaczej sobie poradzę. Teraz to dla tej starej mam jakąś subjekcję. A prawdę powiedziawszy i ta izba mi potrzebna.

— Jaka izba?

— Gdzie żona. Jakby stara bryknęła, tobym żonę zapakował do alkierza, a sam bym zajął izbę na kancelarję.

— E! stara! — ozwał się pomocnik, to suche, chude, ale takie najdłużej żyją.

— Doprawdy? spytał mecenas. Co aspan mówisz?

— Trafia się to.

— Ale to nie może być — dodał uspokajając się Maleparta — kaszle strasznie, czasem całą noc ryhoczę, aż tu słyhać; a kiedy idzie to sapie, jak kowalskie miechy: pytałem się nawet doktora, to mówił że musi mieć astmę i suchoty, i pewnie nie pożyje.

— Może być.

— Pewnie, pewnie, a codzień powiem ci to gorzej. Już ja mam oczy i patrzę dobrze. Nawet mało co je: to wszystko złe znaki.

Na tem skończyła się rozmowa, od której biedna Różia dostała zawrotu głowy i prawie obłąkania. Myśl tylko stracenia matki, była dla niej niewyrachowanym nieszczęściem. Sama jedna w mocy tego człowieka, bez ostatniego węzła, co ją łączył z lepszą przeszłością, nie pojmowała dalszego swojego życia, nie umiała się oswoić z myślą okropnej przyszłości. Po tej rozmowie, która ją przerażając objaśniła o stanie matki, Różia w każdej chwili zdawała się słyszeć jek jej konania, co chwila lękała zgonu, w każdym ruchu i kroku upatrywała znaków postępu choroby i przybliżenia się śmierci. W nocy zrywała się przykładając ucho niespokojne do drzwi izby matki, trwożąc się zbyt silnym oddechem, trwożąc się, gdy go nie słyszała, modłać się do Boga, aby ją nie pozbawiał ostatniej w życiu podpory. Tak czas jakiś w śmiertelnym strachu jej upłynął; a matka w istocie coraz gorzej a gorzej się miała. Już jednak oko córki nie mogło dojrzeć postępów choroby, gdyż ta doszła była do ostatniego swego stopnia. Śmierć krążyła już nad głową wdowy, która przestała wychodzić nawet do kościoła, bo zejść do niego nie mogła. Maleparta zachodził do jej alkierza, jakby się

chciał przypatrzeć umierającej i wybadać rychło skona. Zawsze równie zimny, nawet w obliczu tej śmierci, co najobojetniejszych na wszystko ludzi chmurzy czoła, poglądał na zbliżanie się jej, szyderski, nieporuszony.

Jakiś czas jeszcze wychodziła pani Mrozicka z alkierza i siadywała przy córce, ale codzień ciężej jej było, aż nareszcie obiegła w łóżku, z którego już wstać nie miała.

Jednego rana zawołała córki do siebie. — Róziu moja — odezwiała się słabym głosem do niej — nie bój się moje dziecko, nie płacz i nie rozpaczaj. Miej ufność w Bogu i w opiece świętej Jego Matki, której cię polecam. Mnie Bóg woła do siebie. Żal mi porzucić cię samą i w czyichże rękach! Ale niech się stanie wola Jego święta.

Córka padła we łzach na kolana u łóżka, głowa jej pochyliła się na wychudłe ręce matki.

— O! nie rozpaczaj, nie rozpaczaj dziecko moje. Wszystko mija! najsroższym cierpieniem jest koniec, a Bóg dobry! — O ostatnią prośbę cię posługę. — Dawnom się nie spowiadała, czuję śmierć bliską, poślij po księdza.

Różia się porwała i oblakana wybiegła. W izbie siedział nad papierami Maleparta, zajęty konfrontacją dokumentów, które rozważał wyszukując słabej ich strony i nieprawidłowości jakiegokolwiek, coby je unieważniała.

Na hałas odmykających się drzwi, podniósł głowę ze zmarszczonemi brwiami.

— Czego tak szukasz? spytał żony.

— Matka! matka! moja matka!

— Cóż tam z twoją matką?

— Umiera.

— Nie widzę przyczyny stukania drzwiami — szepnął Maleparta.

— Prosi o księdza!

— O księdza! — rzekł Maleparta. — A ksiądz darmo nie przyjdzie, trzeba mu zapłacić!

— Poślij po księdza, ja mu zapłacę! — zawołała

Różia pierwszy raz w życiu z gniewem prawie.

— Radbym wiedzieć czem?

Różia nie nie odpowiedziała i jak szalona zbiegła ze wschodów, drzwi za sobą zostawując otwarte. Maleparta nie miał czasu jej gonić, nie wstrzymał, bo nawet może ucieczki się nie spodziewał tak śmiałej. Odwrócił tylko głowę i osłupiały poglądał. Ona tymczasem biegła z kamienicy na ulicę, jak stała, nędznie ubrana, bez pokrycia głowy, bez płaszcza, w jednym kaftaniku domowym.

Już miała wynisnąć na ulicę, gdy oko w oko spotkała się z pięknym nieznajomym i cofnęła się krokiem. On ją poznał i przeląkł się tej kobiety, co bezprzytomna, jakby po śmierć do rzeki leciała. Różia postrzegła go, i nagle z odwagą jakiej nigdy nie miała, pochwyciła za rękę.

— Na Boga ratuj mnie!

— Co się stało?

— Matka moja kona! księdza woła — a ten — a on — ach! nie ma komu zawołać księdza, nie ma czem go opłacić, nie będzie czem odprawić pogrzebu. Ona nie będzie miała modlitw nawet za dusze i trumny! On nic nie da!

Wołała jak obłąkana, nieznajomy patrzył na nią i bolał widocznie.

— Oto wszystko co mam przy sobie — rzekł sięgając po worek i odpinając spinkę od żupana kosztowną — weź to. Ja po księdza pójdę.

Różia ani się na chwilę nie zastanowiła nad tem co czyniła, schwyciła worek i spinkę i patrząc na nieznajomego, spytała:

— Zna cię moje serce, ale powiedz jak się zowiesz? oddam ci ten święty dług, oddam! Choćbym go po śmierci odnieść ci miała! Całe życie wdzięczną będę, ach! od okropnej uwalniasz mnie niespokojności! Idź po księdza do fary i spiesz się na Boga, spiesz się: zmiłuj się nad biedną matką moją! Ja powracam do niej. Ale wprzód, twoje imię?

— Stanisław Górski.

Rózia już była na wschodach i wracała na górę, Maleparta jeszcze siedział nad stołem, gryzł koniec pióra i mruczał coś pod nosem.

— Już z powrotem? — zapytał szydersko. Ale żona nie mu nie odpowiedziała i poleciała do łóżka matki. Gdy ją ujrzała wdowa, pochwyciła w swoje objęcia i długo milcząc trzymała.

— Dziecię moje, rzekła, ja czuję że umrę, Bóg łaskaw dał siły na ostatnich chwil kilka. Posłuchaj co ci powiem: — W ciężką zaprzęgnięta jesteś niewole, mąż twój, Boże mu odpuść, tyranem twoim, on mi zgon przyspieszył; ale nie przeklinaj go i nie życz mu złego w sercu swoim, nie drażnij go uporem i złością, zwyciężaj dobrocią, kochać go nie możesz, szanuj i bądź posłuszna. Widzę oczyma duszy mojej, że będzie ci kiedyś lepiej na świecie. — Bądź cierpliwa i powtarzaj w ciężkich chwilach, co Jezus mówił gdy cierpiał: Stań się wola twoja Panie!

To mówiąc ucałowała córkę w głowę, podniosła się nieco i modlić zaczęła.

— Przygotowuję się na śmierć, rzekła, całego życia mało na te jedne chwile! Wiek by się trzeba gotować.

Rózia ciągle płakała, a matka już z pogodnem czołem modliła się spokojnie.

Powolnie otwarły się drzwi i ukazał się ksiądz. Staruszka odetchnęła wolniej, skłoniła głowę i skinęła na córkę, aby wyszła. Ksiądz proboszcz od fary sam z nią pozostał, i długa chwila dla Rózi upłynęła, nim znowu wejść jej dozwolono, aby ze łzami w oczach patrzeć na ostatnią matki komunję. Po przyjęciu jej, wdowa niejaki czas uspokojona pozostała, potem przeżegnawszy się, wzięła księdza za rękę i rzekła:

— Ojcze mój, pozostań jeszcze chwile, chcę pożegnać zięcia przy tobie: Róziu, zawołaj tu męża.

Rózia zawahała się wychodząc, ale stanowcze wejście matki, zmusiło ją do spełnienia rozkazu. Weszła do komnaty męża, co ciągle jeszcze nad papierami siedział z piórem za uchem.

— Matka moja — ozwała się.

— Cóż tam znowu z twoją matką? — zawołał Maleparta.

— Chcę się widzieć z tobą.

Podniósł głowę, wytrzeszczył oczy. namarszczył brwi i spytał:

— A toż czego? Nie mam do niej interesu.

— Ona kona — ona chce —

— Nie wiem czego jeszcze może chcieć odemnie!

— Więc nie pójdziesz?

Maleparta wstał z niechęcią, założył pióro za ucho i szybkim krokiem poszedł ku alkierzowi chmurny.

Na widok jego, stara podniosła się na łóżku z rozognionem obliczem, wlepiła oczy jeszcze żarzące, i wzięwszy córkę za rękę, ozwała się, dobywając ostatka głosu:

— Słuchaj, między mną a tobą i Bogiem com od ciebie wycierpiała, przebaczyłam ci na świętej spowiedzi, zapomniałam wszystkiego! Oto córka moja, twoja żona: dwakroć mi ciężiej umierać, że ją w twem ręku zostawiam! Ale Bóg mnie woła! — Słuchaj: — Jeżeli dla niej nie będziesz lepszym jak byłeś, jeżeli nie przestaniesz ją męczyć, znęcać się nad nią, jak znęcałeś nademną — jeżeli ci nie straszny sąd Boży i piekło, człowiecze, lękaj się matki umarłej. Z tamtego świata przyjdę cię dręczyć za córkę i mścić się nad tobą. Uproszę u Boga, że muie ześle, abym chodząc krok w krok za tobą, grzechy ci twoje przypominała. — Z tamtego świata, ja z ciebie nie spuszczę oka i wy-modłę u Boga karę na zatwardziałego. Pamiętaj.

Maleparta pobladł, posiniał, zadrżał, ale nie ze strachu, ze złości tylko że go tak zuchwale w obliczu obcego napominano; potem zgrzytnął zębami, splunął wzgardliwie i wyszedł z alkierza. Różia zachodząc się od płaczu, rzuciła na ziemię, a ksiądz ukląkł do modlitwy nad konającymi, gdyż stara wysilona, widocznie życie kończyła.

Wśród ciszy, przerywanej płaczem córki, powolnie odzywał się głos kapłana spokojną odmawiający mo-

dlitwę — stara patrząc na Rózię, oddała Bogu ducha.

Ksiądz sam odwiódł od ciała córkę, gdyż Maleparta ani zajrzał więcej do izby, gdzie się to działo. — Cała we łzach ukłękła sierota przed kapłanem, i wyciągając duży worek dany przez nieznanomego, rzekła szybko:

— Ojcie mój, ojcie, o łaskę cię proszę. Widziałeś tego człowieka, znasz go już trochę, on matce biednej nie da pogrzebu, ty się nim zajmij, wszystkim, wszystkim. — Co mam oddać na to — co mam. Oto pieniądze, oto spinka kosztowna, sprzedaj ją — zapłać pogrzeb, niech ludzie nie wiedzą, że ja to dałam — nie mów nikomu. A gdy się spytają, powiedz że mąż to zrobił dla matki! I tych ostatnich słów nie powtarzaj, zapomnij o nich.

Ksiądz skinął głową i spinkę nazad oddając Rózi, rzekł:

— Tych pieniędzy dosyć będzie, córko moja, to schowaj dla siebie. — Westchnienie wyrwało mu się z piersi i szybko poszedł ku drzwiom. U drzwi już go czekał Maleparta.

— Cóż ta stara warjatka? — spytał.

— Ta biedna pocziwa kobieta skoła już — odpowiedział kapłan — oddała Bogu ducha, przebaczywszy nieprzyjaciołom.

— Już, umarła!! — No, ale mój księżuniu życzę ci, tego głupstwa, co tam ona plotła, Boże odpuść, postradawszy rozum, niepowtarzać nikomu. — A co się tyczy pogrzebu, musicie tam mieć fundusze na grzebienie ubogich? To była uboga kobieta, bez żadnej substancji, bez funduszków, z łaski ją utrzymywałem — schowajcie ją z miłosierdzia i pobożności. Ja nie jestem w stanie.

Wstydlwym okiem rzucił ksiądz na mecenasa.

— Nie troszczcie się o to, rzekł, zajmę się pogrzebem.

— To będzie prawdziwie po chrześcijańsku — dodał Maleparta. — A ja, żeby oczyścić izbę, każe nieboszkę przenieść do dalszej izby na lewo ode drzwi. Wszak i trumnę przysłecie?

— I trumnę — odpowiedział ksiądz.

— A to bardzo dobrze. Niechże ja już nie wiem o niczem. Żonę mi tylko potrzeba gdzie przeprowadzić.

To mówiąc poszedł po Rózię, która bezwładna, bezprzytomna, dała mu się powieźć gdzie chciał.

Pogrzeb z wielkiem podziwieniem mecenasa odbył się nie tylko przyzwoicie, ale nawet prawie wspaniale. Pani Mrozicka za lepszych czasów miała znajomych, przyjaciół, co teraz gdy umarła przypomnieli sobie, że ją znali i kochali. Wszystkie zakony towarzyszyły obrzędowi, mnóstwo ludu ciągnęło się za wozem żałobnym, katafalk był wspaniale ubrany, kościół kirem obity i światła mnóstwo.

Wszyscy myśleli, że Maleparta zdobył się na taki pogrzeb matce swej żony, i on się tego nie wypierał, dziwiąc w duchu, jakim sposobem tak kosztowny urządzone pogrzeb. Rózia nawet nie pojmowała tego co widziała, choć za łzami nie wiele zobaczyć mogła. Po głowie mecenasa chodziła niespokojna myśl, czyli żona utajonych jakich na to pieniędzy nie użyła, a jak on powiadał, nie zmarnowała. Nie mógł jednak nic dojść.

Za wozem żałobnym szedł w czarnym stroju, ze spuszczoną głową, jeden tylko człowiek. Był to pan Stanisław Górski, który i pogrzeb ten cały swoim kosztem sprawił.

Rózia postrzegła go raz, ale w tej chwili nie nie pojęła, nie nie zrozumiała, nawet mu wdzięczną być nie potrafiła. Wszystkie jej uczucia i myśli były przy zmarłej matce.

Po śmierci pani Mrozickiej, Maleparta zajął dla siebie, jak obiecywał, izbę większą, a żonę umieścił w alkierzu, niezważając na to wcale, że świeżą jej boleść ciągłym widokiem miejsca, w którym umarła matka, powiększał. Żał jednak Rózi nie był jednym z tych krótko trwałych, co pragną roztargnienia i szukają rozrywki. Ona nie odpędzała wspomnienia matki, ale szukała go i wywołując cięń jedynej osoby, co ją w życiu kochała, z nim w duszy swej dnie całe trawiła.

Dla niej terażniejszość nie miała żadnych powabów,

żadnego wdzięku. Niewolnica, uciekała w swobodną przeszłość i wspomnieniem jej się pocieszała. Maleparta był dla niej jak dawniej obojętnym i zimnym, ona dla niego uległą i posłuszną. Nie widywali się chyba rzadko, nie mówili z sobą chyba z koniecznej potrzeby. On i teraz nie postarał się niczem uprzyjemnić jej życia, pozwalając biednej Rózi w wyszarzanych, panińskich jeszcze chodząc sukienkach, schnąć w niedostatku i głodzie. Nie pokazywał jej przed nikim, i najsurowiej zakazano jej było, wychodzić nawet, gdy głos obcych w przyległej izbie słyszała.

Kiedy gwałtowna boleść po stracie matki uśmierzyła się trochę, Rózia zaczęła doświadczać bardziej niż kiedy ciężkich mądów. Brakło jej zatrudnienia, namiętności, celu w życiu, w próżnem sercu i niezajętej głowie szumiały myśli jak wiatry po stepach. Poczęła znowu zbliżać się do okna i choć poglądać na ten ruchawy świat, z którego wyłączona była na zawsze.

Bawił ją ruch miejski, wrzawa uliczna, wszystko aż do swawoli chłopców co tak raźnie i wesoło skakali nadzy i odarci. Może i co innego ciągnęło ją do okna. Często bowiem przed nim przechodził się pan Stanisław i patrzył na bladą twarz młodej kobiety z uczuciem politowania i zajęcia. Ten jeden, którego zdawała się zajmować, zajmował i ją nawzajem. Za jego litość, (bo litości tylko domyślała się) płaciła wdzięcznością; nie raz pomyślała, że miło by jej było zbliżyć się do niego; ale jak? Czujność Maleparty czyniła zbliżenie to prawie niepodobnem, bo nawet do kościoła samej nie wolno było wyjść Rózi, a biedna często nie mając ubrania stosownego, nie śmiała się na ulicy pokazać.

— Gdyby on mnie tak postrzegł? myślała, wyblada, w podartej sukni, mógłże by myśleć o mnie, interesować się mną, on co dzień w dzień widzi tak piękne, wesołe i bogato strojne kobiety!

I stokroć zazdrościła Rózia ubogim mieszczkom co w niedzielę wystrojone szły do fary. — Ona obwinęta płaszczykiem, na ranną tylko mszą się wciskała,

w nieodstępny towarzystwie odartej i brudnej starej sługi.

Gdy się to dzieje, Maleparta zebrawszy potrzebne papiery, rozważywszy dobrze jak się wziąć do sprawy tak ważnej, od której wygrania zależała w znacznej części jego przyszłość — rozpoczął razem dwa procesa: o sukcesję Inflantską w Wilnie i z dziedzicem dzierżawy p. Mrozieckiego w Lublinie.

Pierwsza mianowicie go zajmowała — pisał on do Infant, dla zasięgnięcia wiadomości. Doniesiono mu o czem chciał wiedzieć, a że nie mógł sam odjechać dla attentowania sprawie, powierzył ją znanemu ze zdolności mecenasowi. Drugą sam się zajął, i zaraz, opierając się na wygnaniu wdowy, do taktowego wpisał rejestru. Zapozwani zesłali plenipotentą do traktowania o zgodę. P. Paprocki wytrzymawszy cierpliwie, póki się termin przywołania nie zbliżył, skończył nareszcie zgodnym sposobem najpomysłniej. Obrachowawszy szkody, obrachowawszy domniemane korzyści, jakieby z dalszej arędy wyniknąć mogły, remanentów szacunek, ich pomnożenie z czasem, procent od tenuity i t. d., zakroił naprzód na tak ogromną sumę, że plenipotent cofnął układy, przekładając proces. Tymczasem przyjaciele Maleparty i podmówieni od niego pracowali, aby plenipotentę zastraszyć sądem surowym na wywłaszczenieli wdowy i sieroty; a prócz tego chodziło i o reputację pryncypała, bez którego wiedzy, ale pod jego imieniem, rzecz się stała. Malowano także plenipotentowi wpływy Maleparty, jego wymowę przekonywającą, jego zręczność w cudzych interesach, cóż dopiero w swoim własnym? Gdy się tedy zbliżał termin przywołania z rejestru wpisów, sprawy sukcesorów Mrozieckiego z ichmość..., plenipotent zaczął na nowo przez pośredników tentować o zgodę. Pierwszą odpowiedzią Maleparty było: Już nie czas. Dał się jednak ubłagać i napotkawszy niby przypadkiem plenipotentą w przyjacielskim domu, podał na stół też same co wprzód warunki, potem jakby uproszony i umolestowany spuścił z nich nieco. Plenipotent położył na stół swoje.

Już wówczas wiedział nasz mecenas czego się mniej więcej mógł spodziewać i na pewno chodzić zaczął około ukończenia zgodnie. Kilka dni trwały traktaty i kilka razy rozchodzili się traktujący, bez nadziei nowego zejścia. Przecież, oba grając komedją czas długi, niby znagleni przez wspólnych przyjaciół, napisali punkta do zgody, ciesząc się wzajemnie, że się oszukali. Rzesistemi kielichy na Winiawie zapito sprawę i plenipotent w imieniu pryncypała zobowiązał się do wypłaty na przyszły św. Jan summy czerwonych złotych trzech tysięcy.

Odzyskana tak znaczna substancja nie zmieniła w niczem stanu biednej Rózi, która nawet o tem nie wiedziała, podpisując co było potrzeba w asystencji męża, i nieśmiejąc zapytać dla czego? Pieniądzmi ztąd odzyskanemi, poparł Maleparta nierównie dlań ważniejszą sprawę, o sukcesją po Gelbsternach, już z braci p. Mrozickiej bezpotomnie zeszyłych, objętą przez kollatoralnych. Proces był sprawiedliwy, sprawa jasna, cała trudność pochodziła z przedawnienia i zamłczenia długiego. Dobra zaś, o które chodziło, mogące czynić sześćdziesiąt do ośmdziesiąt tysięcy złotych polskich rocznej intraty, były bardzo znaczne i chociaż zrujnowane, wartowały jeszcze na tamten czas bardzo wiele. Było to jedno z najpiękniejszych dominiów w Inflantach; prawdziwie pańska, choć zrujnowana i rozdrobiona fortuna. Los zdawał się sprzyjać w dochodzeniu jej Maleparcie; dobra bowiem podzielone teraz na schedy niewielkie, na kilkanaście głów, nie miały nikogo, co by żywo stanął w obronie posiadania ich. Kollatorialni niektórzy szydzili z tej sprawy i bronić się nie chcieli, drudzy sami sobie zostawieni nie mogli. Nie było zgody i upadek widoczny. Gdy sprawa w niższych przechodziła instancjach, uczyniono już Maleparcie najpiękniejsze nadzieje; jakoż niebawem otrzymał dekret na swoją stronę. Poszli wyżej; a tu dopiero opatrzywszy się wszyscy o grożącym niebezpieczeństwie, wzięli się szczerze do obrony. Ale zapóźno.— Każdy inaczej myślał się bronić, każdy innego wybie-

rał adwokata. nie mogli się zgodzić, ani na sposób obrony, ani na człowieka, któremu by ją powierzyli.

Sprawa przeszła przed trybunał na wielki postrach kollatoralnych suksessorów, którzy dzięki zabiegłości prawnika ugodzonego przez pana Paprockiego, na głowę przegrali. Dekret był zabójczy, gdyż nie tylko restytucją dóbr nakazywał niezwłoczną, ale szkód i pobieranych dochodów przez lat tyle poszukiwać na kim wypadło, dozwalał. Rzucili się kollatorialni prosząc o zgodę, ale Poprocki nasz, nienbłagany, traktować o nią inaczej nie chciał, aż po owładaniu dobrami. Zajął je. Zostawały pretensje do dochodzenia na innych funduszach suksessorów, którzy już tylko litości i zmiłowania prosili. Ale na próżno.

Nie znał litości prawnik, jak prawo nie zna litości. — Naprzód się muszę, mówił, litować nad sobą.

Zbiegli do Lublina wywłaszczeni, płacząc i rozpaczając — nie i to nie pomogło. Tu im doradzili nieprzyjaciele Maleparty, pod nowym jakimś wyszukany pretekstem, zapozwać z kolei mecenasa. Sprawa poszła wzgardliwie *per non sunt*, i nie wiedzieć jak, sama powodowa strona się skondemnowała.

Tymczasem Maleparta objawszy wielkie dobra Inflandzkie, puścił je dzierżawą kilkuletnią, opisawszy się z posesorami należycie. Za wzięte od nich pieniądze i zabrane już wprzód, jak się nieplonnie domyślano, kapitały, kupił natychmiast wielki majątek niedaleko Warszawy w Mazowszu. Stawszy się tak w oczach wszystkich panem i możnym, nie zmienił wcale sposobu życia, nie przestał jeszcze pracować. Podejmował się równie jak dawniej spraw najmniejszych, byleby mu za prowadzenie ich opłacono sownie. Szperał w papierach, żył odgrzewaniem, chodził w starej sukni i żonę zamykając zawsze w ciasnym alkierzu.

Ona biedna męczyła się, schnąc i błędniejąc jak trawa rosnąca w cieniu. Całe dnie, całe lata sama z sobą w izdebce, modląc się, lub pracując, a za całą rozrywkę jej stało wejrzenie oknem w ulicę. Z początku widywała w niej często pana Stanisława, potem

rzadziej się już ukazywał, nareszcie całkiem zniknął jej z oczów. Na następny trybunał już nie przybył.

Terazniejszego trybunału — dodał Prozorowicz — ukazał nam się znowu; widzieliście go zapewne i zauważać musieliście, bo nielada postawa i chłop jak dąb.

— A cóż to za sprawę — spytał palestrant — miał teraz właśnie pan mecenas, do której już cygańskich świadków potrzebował?

— Mówilem waści — dodał Prozorowicz — że z krewnymi żony, których chcąc się pozbyć, oskarżył o napad na swoją osobę, gwałt i pobój; chociaż mówią że jako żywo tego się nie dopuścili, i jedynie dla pozbycia się ich, pozwał. Jakoż uciekli, a sądzeni srogo zaocznie, gdyż trybunał eksces taki nał mecenasem domierzony, za obrazę własną poczytał, i więcej się tu już nawet ukazać nie mogą.

Widzisz waść — rzekł Prozorowicz kończąc — co to za szczwany lis z tego człowieka; od żebraczej torby potrafił dojść do dostatków pańskich, znaczenia i wszystkiego czego tylko chciał, a zobaczysz waść i grosza bym za to nie dał, że dalej, dalej, (jakeśmy widzieli przykłady) gotów senatorskie zasiąść krzesło, byleby mu ambicja przyszła. Z wiekiem to go nie minie. Człowiek którego młodości namiętnością są pieśniadze, skonać musi na starość niepohamowaną ambicją. Nie raz widzieliśmy nawet wielkie fortuny zebrane mozolnie, topniejące potem dla czczego dymu.

Otóż cała historia Maleparty, a kto pozyje, ten więcej zobaczy. bo to dopiero początek zda mi się. Człek choć sterany, ale nie stary.

— A żona? — spytał palestrant.

— Siedzi dotąd w oknie alkierza, naprzeciw którego przechadza się jaśnie wiel. deputat, jak dawniej, wybierając godziny, kiedy mecenasa w domu nie ma. Często nawet absentuje się od sądów i ryzykuje zerwanie kompletu. byle widzieć bladą twarzyczkę ulubionej. choć przez zasmolone szyby,

— I jakież to człowiek?

— Albo to waćpan nie wiesz? personat wielki i bo-

gacz, do tego wspaniałomyślny co się zowie i pocziwego serca. Spojrzeć na jego dwór, to sie i przy marszałkowskim i prezesowskim nie powstyda, taki wspaniały. Co jezdnych! co huzarji! co służalców! a jaka zgraja klientów i przyjaciół! Kiedy zaprosi na bankiet, to gości wynoszą u niego nieżywych prawie, tak ich przyjmuje. Niedawno prezes i marszałek odleżeli po tygodniu jak ich spoił pan Stanisław. A co prochu napsuła trybunalska gwardja, strzelając na wiwaty. Ksieża ichmość całą noc nie spali od huku, i nie darmo coś o tem ojciec Jan wspomniął delikatnie w niedzielne kazaniu, strofując Baltazarów naszych, co ucztują tak wspaniale, jakby nie lepszego na świecie nad ucztowanie nie było. A co waszmość na to powiesz, sam kielicha do ust nie przytknie, lubi tylko tak honeste traktować gości. I jest z czego, ~~by~~ substancja krom tej jaką posiada w koronie, większa jeszcze w Litwie, ojczysta: koronna macierzysta podobno i niestarczyła by na jeden trybunał i utrzymanie się przy deputacji, zwłaszcza że jaśnie wilmożny Deputat wziątków pod żadną postacią nie bierze, swoją część grzywien instygatorowi rezygnuje i ubóstwo wspiera.

To mówiąc Prozorowicz, podniósł się z siedzenia i otarłszy usta rękawem, potrzasał czapką, którą zbierał się na uszy nałożyć.

— Dzieki wam za historję — rzekł palestrant — djable ciekawa, szkoda tylko że nieskończona.

— Młody waśc jesteś, może końca doczekasz, ja się go już widzieć nie spodziewam — dodał smutnie eksmecen — mnie już samemu niedaleki koniec własnej historji! Zemrze się pewnie kiedyś za piecem u żyda i ludzie dobrego słowa nie dadzą. Mój stoliczek pod wschodami zajmie drugi taki biedota jak ja, dwa dni pogadają o mnie i — *finis coronat opus!* — Westchnął Prozorowicz ciężko, ostatnich słów domawiając, i oba wyszli z gospody Matjasza, gdyż już na dworze robiło się dobrze ciemno i ronty gwardji trybunalskiej po ulicach chodzić poczynaly. Musieli dla bezpieczeństwa pożyczyć u gospodarza latarki.

Gdy wyszli na Grodzką, Prozorowicz wskazał palestrantowi dom na prawo, w którego oknach świeciły się dwa słabe światelka.

— To mieszkanie Maleparty. W tem oknie świeci się od świecy stolika, nad którym bogacz, jakby na chleb powszedni pracować musiał, wysiaduje noce całe. W tem drugim widzisz światelko alkierza biednej Rózi. Wkrótce ona zagaśnie, bo Maleparta żałuje nawet łojowej świecy, przy której długich wieczorów nie daje pędzić żonie.

Przejęty ciekawością palestrant, z idącym na żydowszczyznę Prozorowiczem poszedł ulicą, aby się zbliżyć ku temu domowi i przypatrzeć mu się lepiej. Gdy podchodzili ku drzwiom głównym, spotkali postać jakąś w czarnym płaszczu, która w ich oczach wsunęła się do domostwa i zniknęła.

Spojrzeli po sobie.

— To jakiś klient — rzekł Prozorowicz — który wykrada się nocą po radę do Maleparty.

— Nie ma wcale tej miny — rzekł palestrant — raczej podobny nocnym ptaszkom, co na piękne panie polują. I gdyby był klientem. po jakie lichy miałby się tak cichutko skradać?

Gdy to mówili, czarna postać mignęła znowu we drzwiach, ale już samowtór z kimś drugim, niższego wzrostu. Szeptali do siebie po cichu, i niespokojnie oglądając się na wszystkie strony, rzucili w lewo ku Krakowskiemu, a potem w przechodniej kamieniczce znikli.

Znowu spojrzeli po sobie stary i młody.

— Widzisz waszmość żem zgadł, rzekł palestrant — bo ta druga postać, poszedłbym o największy zakład, kobieta.

— Waszmość widzę, odpowiedział mecenas, poznajesz kobiety jak pies zwierzyne, węchem chyba. Nie dziwuję się, młody jesteś! — Prozorowicz podniósł oczy na okna, ale w obudwóch paliły się światła jak wprzód.

W tem nim sobie „dobranoc“ powiedzieli i kilka kroków każdy w swoją stronę uszli, hałas dał się sły-

szeć w kamienicy Maleparty. Zastukotało na wschodach, zaświeciło w sieniach, kilku ludzi zbiegli do drzwi i wypadli na ulicę. Maleparta w kitlu białym z szablą w rękę rzucił się za palestrantem, towarzysz jego za Prozorowiczem, wzięwszy ich za tych których szukali.

— Stój!

— Czego chcesz?

— Stój, bo cię płatnę! — zakrzyczał Maleparta — kto jesteś?

— A ty!

Wpatrzywszy się w twarz palestranta Maleparta, zazgrzytał zębami.

— To nie on! a potem dodał:

— Nie widziałeś przed chwilą wychodzących z tej kamienicy?

— Widziałem

— Dwie osoby?

— Dwie.

— Gdzie poszły?

— Ku żydowszczyźnie.

— Pewnie?

— Jeżeli nie wierzysz, to szukaj ich sobie gdzieś indziej.

Maleparta spojrział w ulicę i popędził się ku Prozorowiczowi, którego już zatrzymał jego pomocnik.

Też same pytania. Poznawszy Prozorowicza, męcenas jął kląć i wyrzekać przed nim.

— Kogoż to u licha szukacie?

— Niepoczciwej żony mojej, która mi tylko co uciekła.

— Z kim?

— Nie wiem. Nie widziałeś ich wymykających się?

— Nie uważałem.

— Ten oto mówi, że poszli ku żydowszczyźnie.

— Być może.

— Radź mi, co tu robić?

— Wrócić do domu i położyć się spać — rzekł Prozorowicz — czy ich myślisz złapać?

— Prawda — chmurząc czoło, dodał Maleparta —

napróżno bym gonił wiater w polu. Ukryć się to nie może! Uderzył się pięścią w czoło.

— Gdybyś mniej jej pilnował — rzekł spokojnie Prozorowicz — możeby ci się to nie trafiło.

— Ja ją choćby w piekle odszukam!

— Możesz być pewien że tam trafisz najłatwiej. Dobranoc.

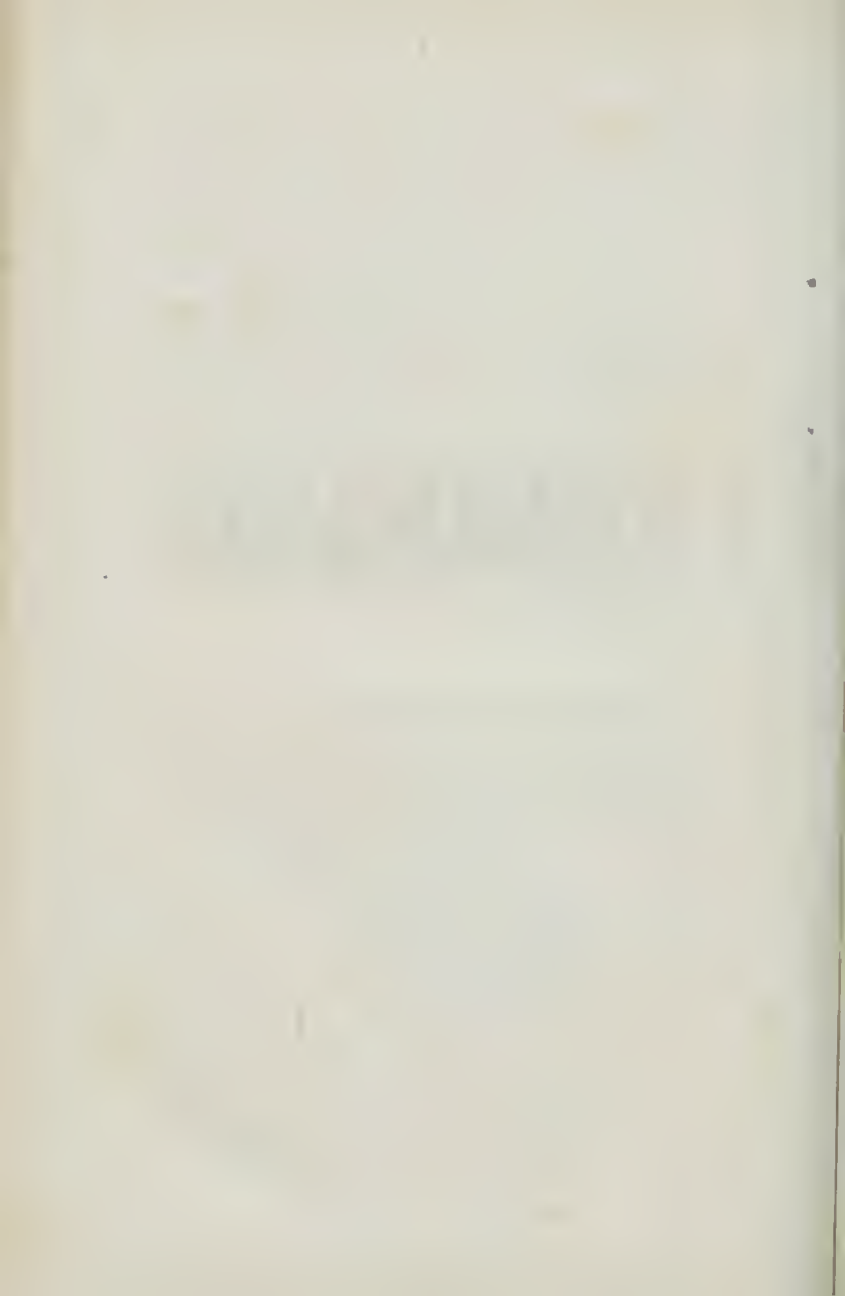
— Idź do djabła! — wykrzyknął mecenas. Prozorowicz poszedł śmiejąc się do siebie; Paprocki chwilę pozostał w ulicy, nie pewien jeszcze co miał z sobą czynić, potem zawrócił nagle i wpadł nazad do domu.

— Biegaj waćpan — rzekł do swego pomocnika — nogi za pas wzięwszy, pod kwaterę deputata Górskiego, niedaleko jezuitów, i stój tam na szyldwachu, obserwując każdego co będzie wchodził i wychodził. Rano jutro zdasz mi z tego sprawę. Powtarzam, patrzaj na każdego, i zważaj będzie-li ruch w domu czy nie. Żwawo! żwawo! Czekam waści całą noc!

To mówiąc wszedł na wschody i zatrzaskał drzwi izby za sobą, miotając przekleństwa.

Koniec tomu pierwszego.







Biblioteka Raczyńskich

JK 1437



JK1437